

Przełożył Daniel Warmuz

W kryzysie. Dziennik polski 1983. Część I

Latem 1983 roku pojechałem do Polski w ramach porozumienia dwóch związków literatów. Wydarzenia i moje doświadczenia opisywałem z co najwyżej cztero-, pięciodniowym opóźnieniem w małym kołonoatniku. Naturalnie ja również nie mogłem oprzeć się ogólnej paranoi sytuacji – stłumieniu i delegalizacji „Solidarności”, stanowi wojennemu – stąd niejeden mój wniosek jest z pewnością mylny, względnie niestosowny lub niesprawiedliwy. Mimo to nie dokonałem retuszu stworzonego wówczas obrazu, tekst publikuję bez merytorycznych zmian, jedynie z pewnymi stylistycznymi poprawkami.

27 czerwca. Poniedziałek

Po godzinie lotu jestem w Warszawie. Na lotnisku stoję w półtoragodzinnej kolejce do kontroli paszportowej. Nazwiska podróżnych sprawdzają na bardzo długiej liście. Wysłano po mnie Barbarę Wołosiek, tłumaczkę literatury czeskiej i francuskiej.

W autobusie Wołosiek pyta się, kogo do tej pory tłumaczyłem. Cieszy ją nazwisko Barańczaka. Jestem ostrożny, staram się raczej milczeć, oglądam ulice. Mówię jej, że nie zmieniła się bardzo. W dwóch miejscach na Krakowskim Przedmieściu widzę krzyż ułożony z kwiatów¹. Dostałem zakwaterowanie w pokoju gościnnym siedziby Związku Literatów. Jedno z okien na mansardzie wychodzi na Krakowskie Przedmieście, drugie na Plac Zamkowy i Kolumnę Zygmunta. Barbara nie ma pojęcia, jakie są dalsze plany, jej zadaniem było tylko odebrać mnie z lotniska. Najlepiej będzie, jak rano udam się do Ministerstwa i poszukam Ireny Jelonek (to ją polecił mojej uwadze Gábor Hárs²) lub Krystyny Horst. Mówi też, że przed kilkoma dniami zmarł Białoszewski. Wymienia, kto odszedł w tym roku. Lista jest długa.

28 czerwca. Wtorek

Przekłety dzień. Jako że nie miałem nic do jedzenia, moim jedynym posiłkiem rano i wieczorem był kawałek czekolady Tibi, którą przywiozłem z Węgier. Dopóki nie dostanę stypendium, jestem bez grosza. Około wpół do dziewiątej poszedłem do Ministerstwa.

¹ Potężne, 20–30 metrowe krzyże ułożone z kwiatów, świec, plakatów politycznych i ogłoszeń ustawiano ku czci ofiar zamieszek po wprowadzeniu stanu wojennego. Jak pamiętam, jeden z krzyży na Krakowskim Przedmieściu był przy kościele Wizytek, drugi w arkadach kościoła św. Anny.

² Referent zagraniczny (kierownik działu?) Ministerstwa Kultury. W latach 1995–1998 ambasador Węgier w Polsce.

Prawie pół godziny czekałem na korytarzu na Krystynę Horst. Kiedy wreszcie przyszła, jakiś czas załatwiała swoje sprawy, biegała tu i tam, gawędziła z innymi, wreszcie w pośpiechu i z urzędniczą obojętnością zajęła się moją. Dostałem dwa zaświadczenia, że jestem tu na stypendium, pierwsze na wypadek wylegitymowania przez milicję, drugie, gdybym chciał pójść do teatru. Kazała mi wrócić o dziesiątej, bo dopiero wtedy kasa będzie czynna. Nadal nic nie jadłem. Pospieszyłem do mieszkania³, zadzwoniłem do Renarda i umówiliśmy się, że około jedenastej zajrzę do Instytutu⁴.

Wreszcie o dziesiątej dostałem stypendium w wysokości 18 480 złotych, a także kartki na mięso, cukier i mąkę. Horst poprosiła, żebym wrócił na dwunastą, przyjmie mnie wówczas pani Barbara Wiechno⁵ i wreszcie, czego nie udało mi się załatwić z panią Horst, będę mógł ustalić, kiedy pojadę do Krakowa. Jak to kiedy? Jutro! Nie bardzo w to wierzy, mówi, że później zobaczymy, i żegna się ze mną. Mam znów przyjść do niej dziś lub raczej jutro. Nie dyskutuję.

Biegiem do Instytutu. Opowiadam Renardowi, że zmieniłem zawód. Robię to w pośpiechu, zanim oprowadzi mnie po całym laboratorium, na co nie mam ani czasu, ani ochoty. Ustalamy, że odwiedzę go po południu, później biegiem do pani Wiechno. Oprócz czekolady niczego od wczoraj nie jadłem, w cukierni Hotelu Bristol kupuję jakieś budzące zaufanie ciastko. Okazuje się, że ma mięsne nadzienie, przypomina krokieta, 29 złotych za sztukę, kupuję trzy, ale nie czuję się zbyt nasycony. Przychodzę spóźniony, całkiem długo czekam na panią Wiechno, bo znów wyszła na miasto. Wraca z kwiatami. Siedzę już w jej gabinecie, bo urzędniczka z sąsiedniego pokoju uprzejmie mnie wpuściła i zapewniła, że jeśli mam do wykonania jakiś telefon, mogę spokojnie skorzystać z aparatu. Pani Barbara dobrze mówi po węgiersku, z początku jest przyjazna, dopiero gdy wspominam o Krakowie, robi się bardziej nerwowa, a dokładniej obrażona. Zachowuje się, jakby nie widziała mojego planu pracy, maluje przede mną zalety osobiste ułożonego programu pobytu w Warszawie, podczas gdy „wie”, że chcę się spotkać z Adamem⁶. Niestety jestem zmęczony i głodny, słabo kojarzę i początkowo udaje się jej mnie nabrać – przyznaję, że uwzględniłem Adama w planie pracy. Próbuję się tłumaczyć, że nie jestem na bieżąco i że nie interesuje mnie polityka – nawet nie wiedziałem, że Adama nie ma w Polsce. (Naprawdę nie wiedziałem, jego ostatni list dostałem zeszłej jesieni, kiedy jeszcze był w Krakowie bez paszportu). Dopiero w mieszkaniu przychodzi mi do głowy, że nazwisko Adama pada tylko w moim życiorysie. Skuteczna prowokacja,

³ Za wyjątkiem podróży na przedmieścia wszędzie poruszałem się pieszo, bo na autobusy nie można było liczyć.

⁴ Jeszcze w czasach studiów medycznych dwa miesiące spędziłem na stypendium w prowadzonym przez Jerzego Konorskiego w Laboratorium Neurofizjologii Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego. Pracowałem tam razem z Renardem. Od tamtej pory jesteśmy przyjaciółmi, choć porzuciłem pracę badacza i zostałem literatem.

⁵ Od 1972 do 1976 roku zastępczyni dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w Budapeszcie, w latach 1983–1987 pierwsza sekretarka Ambasady PRL na Węgrzech, w latach 1997–2001 dyrektorka Instytutu Kultury Polskiej. Od 2007 roku na emeryturze. W 2001 roku otrzymała Nagrodę Pro Cultura Hungarica, a w 2012 roku odebrała z rąk Gęzy Szőcsa Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Republiki Węgierskiej.

⁶ Zagajewskim – spotkałem się z nim po raz pierwszy w 1977 roku w Krakowie. Wielokrotnie tłumaczyłem jego wiersze, z mniejszymi przerwami byliśmy w stałym kontakcie. W 1982 roku wyemigrował do Francji. W 1989 lub 1990 roku spotkaliśmy się w Paryżu.

zatem lekkomyślnie uznałem, że pani Basia to histeryczka w okresie klimakterium! Mówię jej, że nie interesuje mnie polityka, tylko literatura. Nic na to nie poradzę, że nie chcę mi pokazać najlepszych pisarzy... Milczymy coraz dłużej. Wreszcie, wzdychając, zauważa, że nie możemy dojść do porozumienia. Mam iść do pani Horst załatwić zakwaterowanie w Krakowie, bo do niej to nie należy. Ona zorganizowała warszawski program, w niczym więcej mi nie pomoże. Horst nie ma w biurze. Na korytarzu znajduje mnie Irena Jelonek. Jeszcze jej nie znam, ale jak widać, wie od Horst o moim przybyciu. Jest bardzo życzliwa i pomocna, natychmiast chwyta za słuchawkę i rezerwuje mi pokój w Krakowie. Wówczas zjawia się pani Wiechno (przyszła za mną) i prosi, żebym niezwłocznie zadzwonił do Andrása Szabó z węgierskiej ambasady. Jest nerwowa i zdecydowanie nieuprzejma. Podczas gdy męczę się z telefonem, odsuwa na bok panią Irenę. Odkąd wyszedłem z jej gabinetu, miała czas nastraszyć Szabó, który wzywa mnie natychmiast do siebie. Tok jego myśli wygląda mniej więcej następująco: jestem pisarzem, wszyscy pisarze politykują, Polacy są w ciężkim położeniu, nawet najmniejsza ingerencja może być bardzo szkodliwa, musimy zrozumieć, że nie możemy poświęcać uwagi temu, kogo oni z przyczyn politycznych uznają za złego pisarza. Nie zgadzam się z tym i twardo się sprzeciwiam. Jednak obiecuję, że wedle możliwości będę akceptować urzędowe prośby, choć na podstawie ministerialnych ocen nie będę wybierał, z kim chcę się spotkać. Bardzo długo jest uprzejmy, aż zaczyna mi otwarcie grozić. Bez użycia nazwisk wspomina o sprawie Bálinta Magyara⁷. Mówi, że istnieją kanały informacyjne, które mogą zadziałać na moją szkodę. Odpowiadam żartem, że nie jestem spiskowcem. Nie wdaję się w szczegóły, zaznaczam, że zna moje dane. Od dwunastu lat należę do partii i mam stabilną pozycję w redakcji⁸, więc to absurdalny pomysł, by mieć wobec mnie podejrzenia, ale jakoś nie mam chętności przypominać o tym teraz. On z kolei odpowiada, że „nigdy nie mogę wiedzieć”, kiedy wdam się w coś, co będzie dla mnie dotkliwe. Ja na to, dość logicznie, proszę, by mnie oświecił, z kim nie powinienem się spotykać. Uchyła się od odpowiedzi, mówiąc dość nielogicznie, że sam się tego łatwo domyślę. Ale na jakiej podstawie? Nie drążę jednak tego, byłoby to tylko bezsensownym przekomarzaniem się. Doszliśmy do porozumienia, nastraszył mnie – tyle do niego należało. Przynajmniej on tak interpretuje swoje zadanie. Jako że Gabi jest w Krakowie⁹ i nie ma pojęcia, co się ze mną dzieje (umówiliśmy się, że po załatwieniu spraw w Warszawie dojadę do niej), proszę go o radę, co mam zrobić. Odpowiada, żebym pojechał po Gabi i wrócił tu z nią na tydzień (mógł to być kompromis uzgodniony z Wiechno). W ramach pewnej rekompensaty obiecuje, że zadzwoni do szefa pani Basi i poinformuje go, jakie zamieszanie jego podwładny wywołał tym, że po przyjęciu mojego planu pracy (musi być świadomy tego, że pierwsze trzy tygodnie spędzam w Krakowie) ustalono tylko program warszawskiego pobytu.

⁷ Po tym, jak Bálint Magyar nawiązał kontakty z kilkoma szefami „Solidarności” na Mazowszu w 1981 roku, wydano go z Polski i zwolniono z pracy na Węgrzech.

⁸ W latach 1980–1985 Gábor Csordás był redaktorem czasopisma „Jelenkor” (przyp. tłumacza).

⁹ W rzeczywistości tylko tam chcieliśmy jechać. Wiedzieliśmy, że krakowska scena literacka nie jest jeszcze pod kontrolą reżimu Jaruzelskiego. Moja żona Gabi pojechała tam bezpośrednio pociągami, ja udałem się do Warszawy tylko po stypendium oraz dlatego, że mój bilet lotniczy wykupiono do stolicy.

Wychodzę od niego około czwartej. Nagle uzmystawiam sobie, że w Ministerstwie założyłem notes z adresami, położyłem go na stole pani Ireny po tym, jak dzwoniłem do Szabó¹⁰. Wracam pędem. Na szczęście, choć już wszyscy wyszli, akurat sprzątając, drzwi do biura są otwarte, a notes leży na swoim miejscu.

Idę do domu po czekoladę oraz salami dla Renarda i idę na Ochotę. Wreszcie o piątej posiłek w barze Ikar: zupa pomidorowa i gulasz za 80 złotych. U Renarda długa rozmowa [o polityce] do jedenastej. (...) W drodze powrotnej za 188 złotych kupuję bilet na osobowy do Krakowa, później pieszo Nowym Światem do domu.

29 czerwca. Środa

Ciąłą noc nie spałem. Byłem zaniepokojony i bałem się, częściowo z powodu Gabi, która jest sama w Krakowie, nie zna języka, nie zna sytuacji, i w dodatku – pod moim wpływem – jest entuzjastką Polaków, a częściowo na skutek wypadków ostatniego dnia, podejrzeń, złego nastawienia i niechęci, z którymi się spotkałem. Usnąłem koło szóstej, obudziła mnie dozorczyń. Mieszka na tym samym piętrze z rodziną i w nocy zawiesiłem na jej kłamce karteczkę z prośbą o pobudkę. Bardzo miło z jej strony. Podróż do Krakowa pociągami osobowymi trwa siedem godzin. Z Gabi ustaliłem, że spotkamy się wieczorem między siódmą i ósmą pod pomnikiem Mickiewicza. Dotąd włóczę się po mieście, fotografuję Sukiennice, jem obiad. Przychodzi Gabi. Dwie noce spędziła u Kornhauserów¹¹ w niezbyt przyjacielskiej atmosferze. Julian skarżył się, że nie napisałem mu wcześniej o przyjeździe. Dość opornie łagodnieje, teraz – jak później sam się przekonałem – jest szczególnie ostrożny i niemal podejrzliwy. Kornhauserowie jeszcze dziś jadą do Zakopanego, tak pozbyli się Gabi. Zanim spotkaliśmy się, udało jej się zarezerwować pokój w hotelu turystycznym, drogo, więcej niż 800 złotych od osoby. Mimo wszystko rozstali się w przyjaźni, Julian ofiarował jej mały album o Krakowie, a Alicja tanią, ale gustowną parę klipsów. Julian zostawił mi – nie wiadomo czemu napisany po angielsku – list. Pisze w nim, że dziewiątego będzie w domu (wraca na sesję egzaminacyjną) i wtedy mam się z nim skontaktować.

Z Sukiennic dzwonię do pana Wacława¹². Już wie o mnie, dostał list od Cs.¹³, niezwykle precyzyjnie opisał, jak do niego trafimy. Tłumaczę, że znam adres i mam bardzo dobrą mapę, ale pan Wacław nie daje się przekonać. Szybko przechodzi na węgierski i już do końca wizyty mówi w tym języku, co nie jest zbyt sprzyjające. Choć mówi dobrze

¹⁰ Gdyby mój notes dostał się w niepowołane ręce, mógłbym zostać zdekonspirowany, gdyż zawiera numery telefonów wielu takich pisarzy i aktywistów, których niedawno wypuszczono z obozów dla internowanych, lub takich, którzy umożliwiali mi kontakt z działającymi w podziemiu osobami.

¹¹ Juliana Kornhausera też znam od 1977 roku, przetłumaczyłem sporo jego wierszy. Mieszkał z Zagajewskim w tym samym domu na ulicy Chrobrego.

¹² Wacław Felczak (1916–1993) – historyk. Pod okupacją działał jako goniec rządu RP na uchodźstwie, jakiś czas organizował na Węgrzech przerzuty polskich żołnierzy na Zachód (przyp. tłumacza).

¹³ Csaba Gy. Kiss (ur. 1945) – historyk literatury, członek-założyciel Węgierskiego Forum Demokratycznego, członek Polsko-Węgierskiej Komisji Historycznej. To od niego i Istvána Kovácsa dostałem nieocenioną pomoc i rady przed moją pierwszą podróżą do Polski. Ponośną odpowiedzialność za to, że wbrew woli zostałem polonistą. Z ostrożności zmieniłem pewne nazwiska lub podaję inicjały, licząc się z tym, że na moje zapiski w budynku „Zóltógo” Związku Literatów mogą natrafić nieoczekiwani czytelnicy.

i tylko z lekkim akcentem, po węgiersku rozumie znacznie mniej niż ja po polsku. Na dodatek jestem dość zmęczony i niewyspany, przez co nasza rozmowa staje się męcząca i często utykamy. Przyznaje, że Cs. przedstawił mnie jako swojego przyjaciela, ale poza tym pan Wacław nic o mnie nie wiedział, co wychodzi dopiero na końcu. W odniesieniu do aktualnej sytuacji bardzo pogodnie oznajmia, że kryzys „się nie liczy”, represje „się nie liczą”, tak samo jak to, że nie widać końca tunelu. Według niego działalność opozycji może potrwać jeszcze wiele lat. Zachowuje się jak ktoś, kto po stracie wszystkiego sięga po liche resztki, mówiąc z uśmiechem, że to i tak jest już nic niewarte. Później stwierdzamy z Gabi, że pewność siebie to cecha ludzi, którzy przeżyli znacznie cięższe warunki od tych, które w najgorszym wypadku mogą czekać ich teraz. Czyż w poświęceniu całego ludu i jego determinacji znajdującej się na granicy szaleństwa nie ma tego samego historycznego optymizmu?

Dostaję popularną, wydaną po raz drugi *Historię Węgier* jego autorstwa wraz z dyktacją. Na końcu prawie dwugodzinnej rozmowy niemal całkowicie topnieją między nami lody. Chętnie wzięłby mnie do redakcji „Tygodnika Powszechnego”, ale nazajutrz muszę wracać do stolicy. Daje mi warszawski adres Macieja¹⁴. Istvánowi i Csabie też posyła swoją książkę. Zapara kolejną herbatę. Mówię, że nie chcemy przeszkadzać, uprzejmie i szczerze prosi, żebyśmy jeszcze zostali. Nalega, że jak znów będziemy w Krakowie, to musimy go odwiedzić. Jako dowód pokazuje tutaj „gabinet” Istvána. Żałuje, że Gabi nie nocuje u niego. Przynosi zdjęcie swojej córki chrześnej (córki Kovácsów). Bardzo chciałby pojechać na Węgry, ale potrzebne jest zaproszenie (oficjalne albo od rodziny), do tego obowiązkowa wymiana waluty, choć forintów – formalnie – nie można nigdzie dostać. Według niego (i innych, z którymi później rozmawiamy) brak węgierskiej waluty nie jest przypadkowy. Ale ma nadzieję, że jesienią otrzyma trzymiesięczne stypendium, chciałby u nas pracować, obecnie pisze książkę o Kossucie. Z przejściem opowiada o „pielgrzymce” papieża do Polski, okazuje się, że też ją odbył, od Warszawy przez Jasną Górę i Wrocław do Krakowa. Z uznaniem wspomina o niedawnej demonstracji solidarnościowej młodych Węgrów na Rynku Głównym. Później okazuje się, że to „niedawne” zdarzenie miało miejsce jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. On również, jak niemal wszyscy bez wyjątku, stan wojenny nazywa „wojną”. Próbuję nawiązać rozmowę o Mickiewiczowskim mesjanizmie i jego gorzkiej klęsce, ale zbywa to pogodnym machnięciem ręki. Nie przepada za rozmowami o czarnych scenariuszach. W związku ze swoją podróżą na Węgry wspomina o czasach wojny, kiedy kilkakrotnie w ciągu roku przekraczał nielegalnie granicę między Krakowem i Budapesztem. Lecz kiedy wspominam o internowanych, i to w dość neutralnym kontekście (o zaoferowanym im paszporcie), automatycznie spogląda na telefon.

30 czerwca. Czwartek

Rano powrót do Warszawy, znów pociągami osobowymi, ale tym razem ze znacznym opóźnieniem. Przed południem dzielimy się resztką chleba (lub raczej łamiemy na mniejszy

¹⁴ Maciej Koźmiński – historyk, hungarysta, pierwszy ambasador RP w Republice Węgierskiej (1990–1996).

i większy kawałek, które sobie wzajemnie oferujemy). Widząc to, nasz sąsiad – tak zwany „robotnik” o grubych rękach i szerokich, płaskich palcach – wyciąga z torby nóż, butkę i masło oraz częstuje tym Gabi. Po kilkuminutowej rozmowie zaprasza nas do swojej dachy nad jeziorem, dokąd właśnie jedzie. Daje swój numer telefonu i każe obiecać, że zadzwonimy, jeśli zechcemy przyjechać i żebyśmy pamiętali o jego gościnności.

Resztę popołudnia i wieczór spędzamy przy krzyżu w arkadach kościoła św. Anny. Dookoła stoi około sześćdziesięciu – siedemdziesięciu ludzi, tak samo jak każdego dnia. Udręczone kobiety i damy wyglądające, jakby wyszły z cukierni Gerbeaud¹⁵, dzieci, niewielu mężczyzn, głównie o „robotniczym” wyglądzie, kilku żołnierzy – czysto „łobuzerski element”. Śpiewają piosenki partyzanckie z czasów okupacji, pieśni maryjne, prześmiewcze teksty pod adresem rosyjskich i polskich polityków, nowe przyspiewki o „Solidarności”, górnikach, ZOMO. Repertuar układa stojąca o kulach kobieta. W tłum wchodzi się pijany mężczyzna i choć ledwo to po nim widać, natychmiast zwracają nań uwagę i po skończonej pieśni odprawiają z krzykiem. Kręci się nam łza w oku, my też chętnie dołączylibyśmy do chóru i trzymali nasze palce w kształt litery V. Gabi później trafnie stwierdza, że było tak, jakbyśmy oglądali na żywo spektakl *Marat*¹⁶ w Kaposvárze. Proszę ją, by pod żadnym pozorem nie śpiewała – byłoby głupstwem, gdybym nie mógł przez to tu przychodzić. Jednym gestem możemy tylko załagodzić wyrzuty sumienia, a znacznie bardziej pomogę, jeśli – co do mnie należy – będę pośredniczyć między naszymi kulturami. To ich przedstawienie, wyważyć szanse i skutki oraz znieść je w miarę potrzeby mogą tylko oni. My tylko przyszlismy i odejdziemy. W trakcie moją twarz zalewa rumieniec, jestem niezwykle zakłopotany i wstydę się. Tak naprawdę nie wiem, czy nie tłumaczę tym swojego tchórzostwa, i to podwójne uczucie towarzyszy mi uparcie przez kolejny miesiąc.

Okolo wpół do dziesiątej jeszcze większy tłum skanduje trzykrotnie hasło: „NSZZ, NSZZ, »Solidarność« Mazowsze jest!”, po czym staruszka o kulach życzy wszystkim dobrej nocy (używa archaicznego zwrotu „wiera”), a ludzie posłusznie się rozchodzą.

1 lipca. Piątek

Przed południem idę do Ministerstwa, gdzie ustalę z panią Basią warszawski program: wizyta w dwóch wydawnictwach i trzech redakcjach. W sprawie krakowskiego noclegu jest oziębła i odsyła mnie do pani Horst, u której okazuje się, że od dwóch dni nic z tym nie zrobili. Dostaję za to 300 złotych na pobyt w Krakowie, gdzie na własną rękę mam znaleźć miejsce do spania. Na korytarzu znów łapie mnie pani Jelonek i wciąga do swojego gabinetu. Jej też nie udało się załatwić noclegu, ale próbowała, choć nie należy to do jej obowiązków. Dzwoniła do krakowskiego biura Związku Literatów i poinformowano ją, że wszystkie pokoje gościnne są zajęte. Siedzi u niej pan Jakubowski, dyrektor Działu Ochrony Praw Autorskich, którego mi natychmiast przedstawia.

¹⁵ Elegancka kawiarnia w centrum Budapesztu założona przez Henrika Kuglera w 1858 roku, przejęta później przez Emila Gerbeaud (przyp. tłumacza).

¹⁶ Legendarny spektakl *Marat/Sade* Petera Weissa w reżyserii Jánosa Ácsa grany w Kaposvárze w sezonie 1981/82. By zobaczyć sztukę, chętnych zawoziły z Budapesztu specjalne autokary, a wystawienia zamieniały się w demonstrację sił opozycji. Postać Coulmiera, dyrektora zakładu psychiatrycznego, stała się symbolem kadaryzmu (przyp. tłumacza).

Jakubowski „prosi”, żebyśmy zajrzał do nich przy okazji i zapisał się, gdyż – w przeciwieństwie do Artisjusa¹⁷ – zajmują się też tłumaczami: wysyłają za darmo książki, fundują prenumeratę dwóch czasopism, organizują spotkania, konferencje i kursy doszkalające. To miła niespodzianka.

Idę tam po południu. Na Placu Teatralnym zaczepiam sporo ludzi, ale nikt nie potrafi mi powiedzieć, gdzie jest ulica Hipoteczna, w każdym razie nie ma jej tam, gdzie pokazuje mapa. Wreszcie ją odnajduję i załatwiam wszystko. Kolejna niespodzianka – tu też finansują zakup książek. Wystarczy, że przyniosę rachunek, a oni zwrócą koszty. Jako że do tej pory oszczędzałem głównie na ten cel, odciąży to sporo nasz budżet, będziemy mogli pozwolić sobie na małe łakomstwo, ewentualnie jakąś podróż. Złożyłem zamówienie na „Miesięcznik Literacki” i „Poezję”, w ten sposób – dodając do tego prenumerowaną „Twórczość” – mogę być na bieżąco z ważniejszymi czasopismami.

Jeden z niezliczonych dobrych uczynków pani Wiechno: ułatwiła mi dostęp do biblioteki Muzeum Literatury im. Mickiewicza, które mieści się w pięknej, starej kamienicy na Rynku Starego Miasta. Jest tu mała, cicha czytelnia, teraz zaglądam tylko, żeby zapoznać się z pracownikami i zamówić pierwszy rocznik „Skamandra”, który chciałbym przejrzeć. Później próbuję zarejestrować mój bilet lotniczy i załatwić kuszetkę dla Gabi. Docieram do budynku Węgierskiego Instytutu Kultury, gdzie mieści się przedstawicielstwo Malévu. Zamknięte mimo godzin pracy. Portier mówi, że „pan” wkrótce wróci, pojechał na lotnisko. Około pół godziny szwendam się po okolicy, ustawiam się w kolejce po papierosy. Palę mocne, to najtańsze (35 złotych) papierosy inteligencji (mężczyzn). Co jasne, kolejka nie stoi za papierosami, ale za prasą. Początkowo wyglądało to dziwnie, na całej długości Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata widywałem o tej porze kolejki do kiosków Ruchu, które były pełne „Trybuny Ludu” i „Życia Warszawy”, lecz nie interesowały one nikogo w przeciwieństwie do „Expressu Wieczornego”, po który już pół godziny wcześniej w całym mieście ustawiają się kolejki. Nie dlatego, że wychodzi po południu. Rano, co więcej, o świcie i w bardzo uczęszczanych miejscach (jak dworzec) nie widziałem nikogo, kto kupowałby „Trybunę Ludu”.

Pół godziny później zjawił się Węgier, który na tyle nie rozumiał po polsku, że nie zwrócił uwagi na mój akcent i mówił do mnie łamanym rosyjskim. Oczywiście nie ukróciłem jego męczarni, załatwił mnie gniew, że takie mały siedzą w warszawskim przedstawicielstwie. Nie przekonało mnie też, co powiedział: kobieta, która zwykle dokonuje rejestracji, jest na tygodniowym urlopie, więc z rejestracji nici, ale mogę spróbować zadzwonić z Krakowa.

Podobnie zakończyła się próba zdobycia biletu na kuszetkę. Okrąglą godzinę stałem w kolejce na Dworcu Centralnym tylko po to, by dowiedzieć się, że na dwudziestego ósmego nie ma już biletów na żaden pociąg.

Wieczorem idziemy do Renarda, Gabi spotyka się z nim pierwszy raz. Są u niego dwie koleżanki z Instytutu, które po części zaprosił dla naszej przyjemności, ale głównie

¹⁷ Węgierskiego Stowarzyszenia Ochrony Praw Autorskich (przyp. tłumacza).

po to, by nakryły do stołu i pozmywały. Próbuję z jego telefonu zadzwonić w sprawie noclegu, ale wszystkie znane numery w Krakowie są zajęte. Pijemy słodkie, domowe wino od mamy Renarda. Nie jestem w stanie odgadnąć, z jakich jest owoców. Rozmawiamy o „sytuacji”. Według Renarda geopolityka to matematyka sił. Jest zatem pesymistą, jeśli idzie o szanse.

Dwa lata temu rozpoczął remont mieszkania. Wszystko robi ze sklejki: meble, boazerię, żyrandol, ściankę działową między kuchnią i salonem oraz składany stół. Jest w połowie prac. Wszystkie elementy będą się później wzajemnie podtrzymywać, póki co wszystko się chwieje i grozi zawaleniem. Renard narzeka, że remont idzie powoli. W Instytucie zarabia dziesięć tysięcy złotych, co ledwo starcza na utrzymanie jego i syna Piotra. Nie jest w stanie pracować na pogotowiu – wcześniej był ratownikiem, teraz podejmuje się tego średnio dwa dni w tygodniu, czym dorabia kolejne dziesięć tysięcy. Co uzbiera, to szybko wydaje. Nie robi oszczędności. Niczego nie planuje. Kupił kolorowy telewizor z pilotem. Do tego zestaw głośników najlepszej polskiej marki. Statyw skonstruował samodzielnie, także ze sklejki. Sprzęt kupił w furii. Odkąd go znam, zawsze pracował w furii, całe dni spędzał w laboratorium. Obecnie w furii przeprowadza remont. Renard wszystko robi z zaciśniętymi zębami. Około północy jedna z dziewcząt odwozi nas fiatem 126p do domu.

2 lipca. Sobota

O dziewiątej rano odwiedza nas Á.¹⁸, co umówiliśmy telefonicznie. Jeszcze śpię, kiedy przychodzi, na szczęście przyjmuje go Gabi, a Á. nie należy do osób, które obrażają się z powodu czegoś takiego. Dajemy mu przywiezione z Węgier ubrania i buty dla dzieci. Jest jednym z tych, którzy rozdzielają dary, zazwyczaj w zamian za inne, a to, co dostaje, przekazuje dalej. Ostatni łańcuch, opowiada, zakończył się, gdy zostały mu ostatnie dwie pary malutkich jak kciuk bucików – wszyscy wymieniają małe na większe, tak jak rosną ich pociechy. W '56 miał osiemnaście lat i nie był zbyt ostrożny. W 1960 roku został wyrzucony z uczelni – zapłacił za „grzechy młodości”. Pracował w różnych miejscach, ale nigdzie nie pozwolono mu na wieczorne studia. W 1961 roku przyjechał do Polski, przez pół roku przedłużał paszport i poznał swoją przyszłą żonę. Wówczas w ojczyźnie próbowano różnych sposobów przeciwko niemu, między innymi dostał wezwanie do wojska. Wreszcie wrócił na Węgry, ale dzięki małżeństwu po wielu wysiłkach szybko osiedlił się za granicą. Mówi, że powinien był zacząć nieco wcześniej, żeby wszystko skończyło się znacznie prościej. Polska dawała azyl węgierskim uchodźcom do 1960 roku. Jego syn studiuje, córka ma dwanaście lat. Mają jeszcze małe dziecko, ale nie wiem, dziewczynkę czy chłopca, jakoś o nim nie mówią. Żona jest architektem, z dwójką młodszych dzieci żyją za dwa tysiące złotych miesięcznie. On pracuje w agencji prasowej Interpress, jeszcze tam nie było czystek (zapożyczenie z rosyjskiego). Stroni od Nawrockiego¹⁹,

¹⁸ Ákos Engelmayer (1938) – dziennikarz, w latach 1962–1968 student etnografii na Uniwersytecie Warszawskim. Były ambasador Węgier w Warszawie (1990–1995).

¹⁹ Aleksander Nawrocki (1940) – poeta, tłumacz, wydawca. Tłumaczy poezję węgierską, bułgarską, rumuńską, rosyjską i fińską.

bo jest podejrzaną figurą, i – mniej zawzięcie – od J.R. Nowaka²⁰. Ten drugi na początku kryzysu jawił się jako apostoł kadaryzmu, co było całkiem w porządku. Teraz jednak przebiera miarę: idealizuje zdławienie rewolucji, by ówczesne twarde rozwiązanie okazało się w obecnej sytuacji najbardziej pożądane. Słowem, działaniami Kádára usprawiedliwia Wojtkę²¹. On rozumie, czemu tak bardzo nie pojmujemy tego, czego tu doświadczamy. Po pierwsze, jak mówi, stosunki z Rosjanami mają tu bardziej „uregulowane” tradycje, gdyż od stuleci narody polski i rosyjski walczyły ze sobą ze zmiennym szczęściem (...).

Inna historia Á. dotyczy poświęcenia Kaplicy Ossowskiej w rocznicę „cudu nad Wisłą”. Starzy utani uczyli młodych, co trzeba zrobić, gdy zaatakują „czerwoni” (pejoratywne określenie komunistów to „komuna”, jeśli mówią o czerwonych, to biorąc pod uwagę przesłanki historyczne, mają na myśli tylko komunistów z Rosji).

Trzecia historia Á.: kilka dni po manifestacjach trzecemajowych dwudziestu mężczyzn w cywilu wdarło się do prymasowskiego centrum pomocy²², którego jednym z kierowników była poetka Barbara Sadowska. Dotkliwie pobili kilkoro ludzi. Sadowskiej złamali palec. Wieczorem następnego dnia wylegitymowali jej syna, maturzystę Grzegorza Przemyska, i jego kolegów. Po wymianie zdań i użyciu przemocy zabrali Grzegorza na komisariat milicji na Placu Zamkowym²³, skąd z pękniętą wątrobą oraz obrażeniami narządów wewnętrznych zabrala go karetka pogotowia. Zmarł w drodze do szpitala. Trwa dochodzenie. Są świadkowie, to jego przyjaciele, którzy widzieli, jak Grzegorza wzięto na komisariat. Znajdują się pod dobrze zorganizowanym dozorem – na przesłuchania przewożą ich karetką lub samochodami osobowymi.

Á. zawozi nas do odbudowywanego Pałacu Prymasowskiego. Ukończono piwnicę i parter, trwają prace na pierwszym piętrze, ściany są jeszcze nieotynkowane. W gotowej części budynku jest wystawa fotografii i malarstwa, instalacje, sala teatralna, konferencyjna i mała kaplica. Do tego sala kinowa. Codziennie po siódmej jest jakiś wykład, projekcja filmu lub spektakl. W nocy straż obywatelska, przyjazne rozmowy, miły nastrój, gorąca herbata.

Jedziemy z Á. samochodem na Cmentarz Wojskowy na Powązkach. W uroczym brzozowym lesie przerażająca ilość mogił akowców z powstania warszawskiego. Grób Gomułki, jak sieroty, z matką blaszaną tabliczką, na której jest tylko nazwisko – wedle własnego życzenia. Już wcześniej wiedziałem, że był porządnym człowiekiem. Wśród nagrobków żołnierzy, ale w oddzielnym miejscu, prosty drewniany krzyż, dużo kwiatów, stojące w ścisłym kręgu staruszki. To symboliczny grób ofiar katyńskich. Jedna z kobiet zwraca się do nas, jest bardzo elegancka, z miotłą w ręce wygląda dość dziwnie. Jej mąż zginął w Katyniu, wujkowi udało się uciec. Bardzo długo niczego nie było w tym miejscu, nawet krzyża, ale wszyscy wiedzieli, że to grób katyński, przychodzili z kwiatami, harcerskimi

²⁰ Jerzy Robert Nowak (1940) – historyk, dziennikarz. W latach osiemdziesiątych prowadził kampanię przeciwko powieści Iksowie Györgya Spiró za jej rzekomą antypolskość. Znaczącą większość jego publicystyki stanowi demaskowanie „antypolskich” sił.

²¹ Wojciecha Jaruzelskiego. Nie pamiętam, dlaczego go tak nazwałem.

²² Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom (przyp. tłumacza).

²³ Chodzi o komisariat na Jezuckiej (przyp. tłumacza).

emblematami, biało-czerwonymi wstążkami. W czasie „Solidarności” postawiono tu kamienny krzyż, który natychmiast po puczu usunęli „nieznani sprawcy”. Teraz na niskim podeście tablica z marmuru głosi, że w 1983 roku stanie tu pomnik. Może w grudniu, kontynuuje starsza pani. Przynosimy niewiele kwiatów, bo drażni ich duża dekoracja i usuwają wszystko. Mimo wszystko pozwalają tu przychodzić.

Dziesięć kroków dalej dwa drewniane krzyże, również przybrane kwiatami. Ten w tyle to grób żołnierzy AK poległych po 1944 roku, ofiar czystek i ostatnich członków ruchu oporu. Ten z przodu należy do ofiar aktualnej „wojny”. Te trzy symboliczne, starannie strzeżone mogiły są naocznyim świadectwem bezpośrednich historycznych analogii.

Á. zabiera nas na sąsiedni cmentarz komunalny. Pochowano tu Grzegorza Przyomyka. Á. był na pogrzebie. W kilkukilometrowym pochodzie, w śmiertelnej ciszy, bez papierosów i postojów szedł lud Warszawy. Trumnę pozwolono dowieźć samochodem tylko do granicy miasta, dalej przez dobry kilometr nieśli ją na ramionach. Grób przykrywa fantastyczna masa kwiatów. Wśród nich haśła, zdjęcia (głównie papieża), symbole „Solidarności” i ułożony w wiersz fikcyjny list Grzegorza do matki. Z punktu widzenia poezji wiem, jaki to tani chwyt, ale mimo to, gdy tłumaczę go Gabi, cieknię mi łzy. Robię zdjęcie, ludzie odsuwają się na bok. Przed grobem las zniczy. Nie wolno niczego ruszać, wszystko jest pilnie strzeżone.

Po południu trzy godziny spacerujemy po Nowym Mieście i nad Wisłą. Wzdłuż wałów stoją pochyleni wędkarze. Obok nich wbite w ziemię i zakończone dzwoneczkami wędki. Uśmiecham się na ich widok, bo Wisła jest przerażająco zanieczyszczona. A jednak jednemu z nich udaje się złowić dużą na dwie pięćdziesiąt rybę. Nie znam jej gatunku. Dzwonimy do Boruniów²⁴, ale nie ma ich w domu.

Wieczorem idziemy pod krzyż w arkadach kościoła św. Anny.

3 lipca. Niedziela

Przed południem Gabi zwiedza muzea, ja obchodzę księgarnie na Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie oraz sporządzam listę książek do kupienia. Na wystawie widzę kilka takich, których zdobycie wydaje się zupełnie niemożliwe. Postanawiam, że przyjdę po nie z samego rana, żeby nie wykupiono mi ich sprzed nosa. Przy dużym skrzyżowaniu znajduję biuro PKP, mają bilet na kuszetkę na dwudziestego ósmego. Biegnę do Gabi po jej bilet na miejscówkę, ale autobusy jeżdżą tak rzadko, że droga zajmuje mi półtorej godziny. Gabi pędzi z powrotem po bilet, który oczywiście został już sprzedany.

W tym czasie spieszę na Rynek, na pocztę i próbuję zadzwonić do Krakowa w sprawie noclegu – bezskutecznie. Wszystkie numery są zajęte. O piątej Gabi wraca do domu i jemy obiad.

Gabi idzie do Pałacu Prymasowskiego sprawdzić, czy nie ma dziś jakiegoś przedstawienia. Ja jadę do Renarda, bo zostawiłem u niego notes z adresami. Pijemy herbatę,

²⁴ Poetka Katarzyna Boruń (ur. 1956) i jej mąż Andrzej Łagodziński (ur. 1954), dziennikarz „Gazety Wyborczej”, tłumacz literatury czeskiej, w latach osiemdziesiątych łącznik między „Solidarnością” a Kartą 77.

trochę gawędzimy. Renard chwali Gabi. Staram się go namówić na podróż na Węgry. Nie mam nic do czytania, więc proszę go o jakąś książkę. Ze wstydem pokazuje swoją biblioteczkę, w której z trudem można znaleźć literaturę piękną. W ramach usprawiedliwienia wspomina, że w piwnicy są skrzynie wypełnione książkami. Wybieram *Konrada Wallenroda*, którym zapelnę jedną pustą plamę na mojej literackiej mapie. Przemawia też za tym „wallenrodyzm” – dobrze będzie zaznajomić się z tym dawnym polskim pojęciem politycznym, które w czasach kryzysu zyskało nowe znaczenie. Wiedza zdobyta z drugiej ręki zawsze okazywała się fragmentaryczna, jeśli chciałem się nią posługiwać. Jadę do domu czytać. Gabi też szybko wraca, w Pałacu Prymasowskim nic się nie działo, spacerowała po okolicy dawnego getta, była pod krzyżem u Św. Anny.

4 lipca. Poniedziałek

Rano, po tym, jak opłaciłem nocleg dla Gabi (tanio, tylko 150 złotych za dzień), spieszę do księgarń. W bramie zatrzymuje mnie dozorczyń, ma dla mnie wiadomość. Tibor Csorba²⁵ zostawił swoją wizytówkę z poleceniem, żebym odwiedził go między dziewiątą a jedenastą w jego pracowni na ulicy Piwnej. Pierwszy i jak dotąd ostatni raz widziałem go w Pécsu na konferencji hungarystycznej. Wydał się wówczas sympatyczny, wypowiadał się dość „bojowo”, ale raczej sensownie. Później podejrzewam, że mogłem go wówczas z kimś pomylić, ale cieszę się, że mogę poznać sławnego Tibora Csorbę, więc wracam na trzecie piętro po Gabi i w dobrym nastroju idziemy na Piwną. Książki kupię innym razem. W wypełnionym okropnymi akwarelami oraz kiczowatymi figurkami mieszkaniu i w towarzystwie najwyraźniej zgrzybiałego i, delikatnie mówiąc, średnio pojętnego starca, który bez żadnej litości pokazuje swoje niemożliwie dyletanckie prace, spędzamy męczące dwie i pół godziny. Kolejny przykład na brak wyczucia stylu to wizytówka przy drzwiach, którą dostrzegam dopiero przy wyjściu. Widnieje na niej napis: „profesor sztuki T. Cs.”, choć nie zdobył wyższego wykształcenia niż nauczyciel plastyki w gimnazjum. Wie o nas od pani Basi. Był rano w Ministerstwie podziękować za dwadzieścia tysięcy złotych zapomogi. Widocznie uroczą pani Basia podjubiła go do nawiązania z nami kontaktu, ale staruszek już tak słabo kojarzy, że nie udało mu się tego domyślić. Co więcej, niemal słowo w słowo powtarza instrukcje pani Basi. Po niekończącym się trajkocie i godnym pożatowania chępieniu się, wreszcie próbuje uprzykrzyć nam chęć spotkania się z ludźmi, którzy nie widnieją w oficjalnym programie naszego pobytu. Mocno krytykuje wszystkich węgierskich polonofilów. Grację²⁶ za to, że zajmuje się tyle Białoszewskim, który jak wiadomo, był jej przyjacielem. Lagziego²⁷ za to, że nie poprosił go o pomoc w napisaniu książki, chociaż to on podczas wojny był współpracownikiem

²⁵ Tibor Csorba (1906–1985) – malarz, pisarz. Od 1936 roku lektor języka węgierskiego na Uniwersytecie Warszawskim.

²⁶ Grácia Kerényi (1925–1985) – córka filologa klasycznego Károlya Kerényiego, poetka, tłumaczka, eseistka. W 1944 roku została zatrzymana przez Gestapo za działalność antyniemiecką i trafiła do obozu koncentracyjnego. W 1949 roku ukończyła studia w Budapeszcie, a w 1970 – w Warszawie. Tłumaczyła wielu dwudziestowiecznych poetów polskich, współpracowała nad polskim przekładem Sándora Weöresa.

²⁷ István Lagzi (ur. 1942) – historyk, polonista, badacz historii polskiej emigracji na Węgrzech (1939–1945) i autor wielu książek na ten temat.

Józsefa Antalla²⁸. O aktualnej sytuacji nie ma pojęcia tak samo jak my. Kiedy wydaje się nam, że już się uwolniliśmy, dwukrotnie woła nas z przedpokoj. Najpierw pokazuje kolekcję okropnych drewnianych figurek. Później zebrany z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin stos zdjęć i wycinków z gazet, które mówią o wszystkich ważnych wydarzeniach dotyczących jego osoby. Są to krótkie wzmianki w formie szkolnych wypracowań, których publikację w trzeciorzędnych gazetach lokalnych najwyraźniej wymusił sam jubilat, ewentualnie pamiętnikowe wierszyki jego koleżanek. Kiedy wydaje się, że pokazał nam już naprawdę wszystko, przynosi jeszcze grubszy album. Zamieszczone w nim zdjęcia ilustrują rok, w którym właściciel albumu ukończył siedemdziesiąt siedem lat. Później napisana przez niego i wydana w Polsce książeczka o historii rysunku. W środku 25 kolorowych reprodukcji Braque'a, Picassa i Klee na przemian z jego malunkami. Czyste okropieństwo. Widzę, że miałby jeszcze co pokazać, dlatego zmieniam temat i pytam się, kogo z pisarzy międzywojnia warto tłumaczyć. Wymienia Iłakowiczównę, Piechała, Tuwima, innych prawdopodobnie nie zna. Iłakowiczówna przyszła mu do głowy, bo „niedawno zmarła”, dwóch pozostałych pewnie zna w ramach „ogólnego wykształcenia”. W złośliwym nastroju męczę go, czy na pewno nie pamięta jeszcze innych nazwisk. Nie. O twórcach ostatnich dwóch dziesięcioleci wypowiada się z lekceważeniem i bez podawania nazwisk. Wspomina natomiast, że prowadzi gdzieś cykl wykładów o recepcji polskiej literatury na Węgrzech. Wypuszcza nas o wpół do dwunastej, ale jeszcze mamrocze coś na klatce schodowej.

Pędzę do księgarń. Nie znajduję wielu dobrych pozycji, ale kupuję wszystko, głównie poezję autorów, których znam i którzy przynajmniej w jakiś sposób są znaczący. W ten sposób wydaję tylko 700 złotych, proszę na wszystko rachunek. Dla Andrása²⁹ udaje mi się kupić z wystawy niemal ostatniego w całej Warszawie Flaszena.

Gabi dostaje kuszetkę, ale tylko na dwudziestego siódmego. Udaje jej się też zarejestrować mój bilet lotniczy. Spotykamy się o drugiej, jemy obiad w barze mlecznym obok Uniwersytetu. Prawdopodobnie znów pierogi i naleśniki.

Później udaję się do Ministerstwa po program teatralny. Zawsze jest tylko od poniedziałku i tylko na dany tydzień. Do tego w jednym egzemplarzu, więc muszę usiąść i wypisać, co nas może ewentualnie zainteresować. Jest kilka spektakli, ale nie ma ani jednego, na który warto iść. Wypakowujemy rzeczy, odpoczywamy. Gabi wraca do normalnego trybu życia i ucina sobie popołudniową drzemkę. Czuje się jak u siebie w domu.

Idę do urzędu pocztowego na Rynku, próbuję zadzwonić w sprawie noclegu w Krakowie. Znów zajęte wszystkie linie. Poszedłbym do biblioteki, ale dziś zamykają o trzeciej. Skoro już tu jestem, przychodzi mi do głowy, żeby zapytać się, gdzie jest ulica Puszczyka, bo bezskutecznie szukamy jej na mapie. Jest na przedmieściach w okolicy nowych osiedli, ale mój plan Warszawy okazuje się stary i ta część miasta została zaznaczona

²⁸ József Antall (1932–1993) – polityk, działacz opozycyjny, pierwszy premier demokratycznych Węgier (przyp. tłumacza).

²⁹ András Pályi (ur. 1942) – pisarz, tłumacz i dziennikarz, w latach 1991–1995 dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie (przyp. tłumacza).

jako niezabudowana. Autobusem linii 195 (której też brakuje na mapie) musimy dojechać na ulicę Béli Bartóka. Droga do Osińskich⁵⁰ zajmuje godzinę. Nie ma ich w domu, więc wrzucam do skrzynki kartkę z listem od Andrása i idziemy do mieszkających w pobliżu Kolankiewiczów⁵¹. Tych również nie zastajemy, siedzimy na stojącym przed domem wapniaku i zgadujemy, który z przechodniów jest Kolankiewiczem lub jego żoną. Podejrzewamy zaskakująco wielu ludzi o „teatralny wyglądzie”, niektórzy z nich mają nawet typowo „teatralnego” psa. Niestety żaden z nich nie jest Kolankiewiczem. Bawimy się tak około pół godziny, po czym wracamy na Puszczyka. Dzwonimy do drzwi, bo ze skrzynki zniknęła nasza wiadomość. Ze środka dobiega przerażające wycie, ale kiedy po długim grzebaniu w zamku stanęła w drzwiach przywidła, lecz ładna, żywiołowa czterdziestoletnia brunetka, okazało się, że te syberyjskie dźwięki produkowały dwa wyleniałe i chude mieszańce. Osińska gości nas w wypełnionym po brzegi pokoju, gdzie większy sznaucer miniaturka natychmiast do nas doskakuje. Osiński jest w wannie, dopiero co wrócił do Warszawy. Rozmawiamy z żoną, jest bardzo miła i bezpośrednia, również zna Andrása. Opowiada, że jej prababcia była siedmiogrodzką Węgierką. Widziała nas, kiedy była na spacerze z psami. Upewniła ją wiadomość w skrzynce. Mówi, że po Gabi natychmiast widać, że nie jest Polką, co więcej, wygląda na Węgierkę. Osińska też pielęgnuje swoje węgierskie rysy – to dziwne, ale rzeczywiście jest podobna do Gabi.

Po długiej toalecie przychodzi Osiński. Zupełnie nie wygląda na „człowieka teatru”. Z twardą, kanciastą twarzą o blond rudych włosach i niskim czole przypomina robota. Kilka minut trwa, zanim przyzwyczajam się do kontrastu między jego wyglądem a przemyconą, schizoidalną metakomunikacją, która z reguły jest znakiem wyjątkowego intelektu (zob. András). Długo milczy, słucha, co mówię, później zwięźle, ale dokładnie odpowiada na wszystkie pytania. Obecna sytuacja, w ocenie trzech głównych sił politycznych, staje się dowodem na głuchą bezstronność – ten małowówny ludowy filozof jest pierwszym Polakiem, z którym udaje mi się w prosty sposób rozmawiać o tych kwestiach. Polacy pragną wolności, ale nie mają pojęcia, co z nią później zrobić.

Jego zdaniem wspaniały okres polskiego teatru dobiegł kresu. Nie poleca nam ani jednego warszawskiego spektaklu. Tutejszy teatr oparł się na kilku wielkich jednostkach i uzależnił się od nich. Grotowski nie reżyseruje praktycznie od 1970 roku, to jest od czasu *Apocalypsis cum figuris*. Jego wielcy aktorzy zmarli i od 1975 roku przebywa za granicą. Obecnie mieszka w Ameryce, nie ma z nim żadnego kontaktu i z własnej woli nie zajmuje się już teatrem, żyje z wykładów. Koniec Teatru Starego w Krakowie – dopóki działał Grotowski, postawione przez niego wyzwanie tworzyło pożyteczną rywalizację między ośrodkami teatralnymi, czym żywiło się całe życie teatralne kraju. Wajdę wyrzucano. Teoretycznie, według deklaracji, w każdej chwili może wrócić do kraju i swobodnie pracować, ale wszyscy wiedzą – nawet wbrew oficjalnym zamiarom – że nie wchodzi to w grę. Polityka nie zniosłaby więcej jego pracy reżyserskiej. Z wyjątkiem *Dantona*,

⁵⁰ Zbigniew Osiński (ur. 1939) – polski teatrolog, teoretyk Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice”, badacz twórczości Grotowskiego.

⁵¹ Leszek Kolankiewicz (ur. 1954) – antropolog, badacz Grotowskiego.

za którym stoją pobudki finansowe wynikające z koprodukcji, nie wyświetlają w Polsce żadnego jego filmu. Śmierć Swinarskiego w katastrofie lotniczej w 1975 roku była punktem zwrotnym w życiu teatru. Oczywiście pozostaje Kantor – ale przecież nie jest Polakiem – który w ciągu roku spędza w kraju ewentualnie miesiąc, nie ma żadnego poważnego wpływu, to bardziej „nasza duma” i to głównie w świadomości młodszych pokoleń. Swoją drogą środowisko też się zmieniło: likwidacja związków artystycznych, względnie podanie w wątpliwość ich istnienia przez zawieszenie działalności. Wielu artystów utrzymuje się z pracy fizycznej, ze zbiórki owoców, szycia lub dorabia w Cepelii. Młodzi nie mają szansy, by w ciągu najbliższych dziesięcioleci dostać mieszkanie. Najwidoczniej nie mają też żadnych perspektyw na zdobycie pracy.

Dwa ważne wspomnienia ośrodki funkcjonują na marginesie. Pierwszy to Teatr Ósmego Dnia, silnie związany z „Solidarnością”. Obecnie nie działa, bo przed papieską wizytą jego kierownika „profilaktycznie” zatrzymano w areszcie. Drugi to teatr ludowy w Gardzienicach na Lubelszczyźnie, który zbiera i opracowuje żywe wiejskie tradycje, jeździ z przedstawieniami po najbardziej zacofanych regionach rolniczych i gra w zapadłych wioskach. Radzi tam pojechać, co więcej, jeśli będzie jakiś spektakl, chętnie do nas dołączą. Osińska wychodzi do sąsiedniego pokoju zadzwonić do Gardzienic, ale dowiaduje się tylko tyle, że obecnie jest u nich na warsztatach pewna holenderska grupa, więc prawdopodobnie nic nie grają. Gabi dostaje ich adres.

Osiński opowiada, że w sprawach kultury również „Solidarność” wykazuje się dogmatyzmem i brakiem tolerancji. Na przykład nie dopuściła do wystawienia *Emigrantów* w Starym, mówiąc, że Mroźek pokazuje w nich swoją twórczość w niekorzystny sposób. Świętny przykład potęgi, która przeżyła struktury indoktrynacji i, jak widać, dowód na brak tolerancji ze strony organizacji politycznych. A co się już tyczy odnowy wartości i braku przemocy, całość to przykład beznadziejności odnowy polegającej na zabiciu klina klinem.

Na pytanie o konkretną sztukę Osiński odpowiada, że nie jest zbyt obeznany we współczesnej literaturze, jego główny krąg zainteresowań to raczej teoria dramatu, szczególnie pogranicze religii, teatru i etnografii. Poleca nam Piotra Szymanowskiego z „Dialogu”, do którego obowiązków należy też czytanie tego, co się ostatecznie nie ukazuje.

Czas miło płynie, Andrásowi posyłam książkę *Flaszena* (dzięki temu drugi egzemplarz zostaje dla nas) i literaturę o Gardzienicach. Około dziesiątej żegnamy się, uprzednio podziwiamy założony na balkonie ogród zimowy i popadamy w zadumę nad różnymi sprawami.

5 lipca. Wtorek

O dziesiątej zgłaszam się w Ministerstwie po pieniądze na nocleg w Krakowie. Czuję się tu już zupełnie zadomowiony, w miedzianej popielniczce portiera gaszę papierosa i jak kierownik działu idę na prawo schodami pokrytymi dywanem w kokosowy wzór. Zaglądam też do pani Basi w lewym skrzydle, ale jeszcze nie jest w stanie powiedzieć, kiedy mogę pójść do redakcji *Czytelnika*. Mam zadzwonić później. Idę do biblioteki na Rynku i pracuję ze słownikami.

O wpół do dwunastej jestem w redakcji „Twórczości”. Zaczynam tym swój oficjalny pobyt. Przyjmuje mnie Henryk Bereza, z którym umówiła mnie pani Basia. W średniej wielkości gabinecie na stronie przy biurku siedzi stosunkowo młoda kobieta o wyglądzie studentki filologii, nie potrafię rozstrzygnąć, czy jej obecność zwiększa czy zmniejsza moją pewność siebie. W każdym razie kiedy pytam o poezję, Bereza natychmiast oświadcza, że nie zna się na niej i gdybym na to pozwolił, powierzyłby mnie tamtej kobiecie, ale błyskawicznie przeskakuje na prozę, wiedząc, że to jego konik. Widać w jego oczach, że nie ma ochoty się mną zajmować. Dla rozluźnienia atmosfery wymyślam grę słowną, mówię, jak chętnie czytam to, co on czyta w maszynopisie, czym robię aluzję do jego stałej rubryki w „Twórczości”, ale nie drga mu nawet powieka. Ponieważ uważam go za sympatyka nowoczesnej prozy, powoli łagodnieje i cicho, ale z pasją opowiada o „rewolucji artystycznej”. Mówi, że po wprowadzeniu stanu wojennego dyskusja związana z patronowanym i nazwanym przez niego kierunkiem ma jedyne, prawdziwie literackie znaczenie w życiu literackim. Jest moim pierwszym polskim rozmówcą, który nie używa słowa „wojna”.

Spośród prozaików poleca mojej uwadze łożnińskiego, Myśliwskiego, Drzeżdżona, Bitnera i Słyka. Wyrazem twarzy ostrzega, że to oczywiście subiektywne zdanie i niechętnie odpowiada na takie pytania – choć jest wręcz odwrotnie – gdyż w ostatnim czasie coraz więcej ludzi odwraca się od niego za bycie stronnikiem, a jako krytyk już niemal samotnie reprezentuje ten nurt.

Z poetów docenia Ciesza, Barana i Ochwanowskiego, którzy mogli ostatnio publikować lub uczynić to wkrótce, najwyraźniej nie posiada w tym względzie informacji. Oczywiście zna klasyków lat trzydziestych. Uważa, że Tuwima nie warto już tłumaczyć, bo jego czas minął. Leśmian i Czechowicz zawsze są dobrym wyborem. Najnowszy tomik Iwaszkiewicza (*Muzyka wieczorem*) to jedno z większych wydarzeń ostatnich lat. Przybysz to najbardziej wytrwały twórca krakowskiej awangardy. Ewentualnie zwróciłby jeszcze moją uwagę na Ważyka.

Co się tyczy nowelistów, tu też warto wymienić przedstawicieli „rewolucji artystycznej”: Paźniewskiego, Łuczeńczyka, Donata Kirscha, Krystynę Sakowicz i niepokornego Stachurę, który stał się biblią młodych. Z tego, co wiem, mówię, Stachura nigdy nie należał do „rewolucji artystycznej”. Bereza uspokaja mnie: był jej prekursorem.

Pytam o *Miazgę*, niedawno wydaną, a napisaną w 1971 roku powieść Andrzejewskiego. Robi kwaśną minę – rozluźnienie narracji mogło być wówczas rewelacją, ale w międzyczasie zaszła rewolucja, więc straciło swoją aktualność. Pytam, czy ten pogląd nie jest zbyt skoncentrowany na teraźniejszości, skoro dzieło w ciągu dziesięciu lat staje się przestarzałe. Nie rozumie pytania, bezskutecznie zadaje je w inny sposób. Pośrednio udziela odpowiedzi później, mówiąc, że „rewolucja” również dziś ma swoich żywych poprzedników – Buczkowskiego i Białoszewskiego, u których dewaluacja fabuły była najwcześniej dostrzegalna, a cały ciężar niósł sam język.

Dostaję herbatę, mieszam ją łyżeczką, rozmowa zaczyna się. Dalszą konwersację o literaturze utrudnia rozbieżność naszej wiedzy (głównie niedostatek mojej). Z kolei polityka

jakby dla niego nie istnieje. Wreszcie pytam się, kogo spośród krytyków zalicza do sympatyków „rewolucji artystycznej”. Wymienia dwa nazwiska: Leszka Bugajskiego i Jerzego Łukosza. Dostaję adres Łukosza, gdybym coś tłumaczył, mogę śmiało zwrócić się do niego z problemami interpretacyjnymi. Tak w ogóle, traktuje mnie jak młodszego i mniej znaczącego, niż jestem (wedle mojej najskromniejszej oceny). Wspominając o Drzeżdżonie, dodaje ze zwątpieniem, że pewnie nie pozwolą mi go przetłumaczyć, bo wymaga bardziej doświadczonego człowieka. Z panem Berezą żegnám się po około godzinie.

Szwendam się po okolicy, szukając księgarń. O drugiej, jak zwykle w barze mlecznym, jem z Gabi obiad. Później idę do domu, szykuję się (zakładam jedyną koszulę, którą ze sobą przywiozłem) i jadę do Herberta na czwartą. Pod kościołem św. Anny kupuję trzy róże dla pani Kasi. Niestety dopiero w autobusie dostrzegam, że są dość zwiędłe, szczególnie liście, a stary człowiek, któremu ciekło z nosa katar, sprzedał mi je w nader niechlujnym, pomiętym i podartym papierze. W autobusie próbuję naprawić sytuację, by uszkodzone opakowanie zwracało jak najmniej uwagi. Jak to zwykle bywa, na rogu ulicy Herbertów jest kwaciarnia pełna ładniejszych róż, ale nie mam już żadnych pieniędzy, by zaopatrzyć się w nowy bukiet. Przyjeżdżam dobre pół godziny wcześniej, spaceruję po okolicy, czekam w parku Morskie Oko, który mieści się naprzeciwko kilkurodzinnego domu z ogrodem. Oglądam psy i dzieci taplające się w brudnej, gęstej wodzie wyschniętego sztucznego jeziora. Wiele rodzin z koszykami z prowiantem opala się na trawniku. U nas nikomu nie przychodzi do głowy korzystać z zieleńców na osiedlach i robić z nich cel wycieczek.

Kiedy dzwonię, pani Kasia odzywa się zza drzwi i dwukrotnie pyta, kim jestem, choć dokładnie ustaliliśmy godzinę i przyszedłem punktualnie co do minuty. Później prosi mnie o wybaczenie, zapisała, że dziś przychodzę, ale wypadło jej z głowy. Prawda jest jednak taka, jak myślę, że skrupulatnie zamknięte drzwi świadczą o stosowaniu się do dobrze utartych zwyczajów. Być dziś w Polsce żoną Zbigniewa Herberta to niełatwe zadanie. Prowadzi mnie do środka i ugaszcza w słonecznym pokoju o różnorodnym umeblowaniu. Herbert był chory, dlatego spotykamy się dopiero teraz. Jest jeszcze osłabiony, prosi mnie o cierpliwość. Przychodzi po dłuższej chwili, ma dobry nastrój, nieco pociąga nosem. Rozluźniam się w ciągu kilku minut, nie odczuwam, by traktował mnie z góry czy był podejrzliwy. Z uśmiechem przerywa, gdy zaczynam się przedstawiać. Wie, kim jestem od Romány³², poza tym w Niemczech rozmawiał o mnie z Adamem. Nieco bełkocząc, opowiada o sytuacji, także swojej. Ma głęboki, gardłowy głos, jak niedźwiedź. Często popada w zadumę i nieraz jakby mówi do samego siebie. Rezerwy opozycji starczą według niego na około półtora roku. Praw do publikacji swoich tekstów nie daje ani w Polsce, ani na Wschodzie, ani też na Zachodzie, gdyż obawia się, że Wojtek i reszta nawet najczystszy fakt obróć na swoją korzyść. Kilka dni później, kiedy sięgam do literatury emigracyjnej, względnie emigrantów wewnętrznych, uzmystawiam sobie,

³² Romána Gimes (ur. 1928) – redaktorka Wydawnictwa Europa, tłumaczka literatury polskiej.

że nie tylko o tym jest mowa. Cała literatura wraz z jej pojęciem tak bardzo uległa deformacji pod wpływem polityki i obyczajowości oraz działa pod takim przymusem, że niemal nie jest w stanie przetrwać jako taka. Najmniejszy ton, wątpliwość, dystans zostają uznane za nieprzychylnie, choć nie da się bez nich wyobrazić literatury. To, że Herbert mi tego nie mówi, można wytłumaczyć tym, że akceptuje polityczną i moralną zasadność tej obyczajowej presji – niezależnie od tego, że jego jako pisarza ta sama presja paraliżuje i zmusza do milczenia. Są to oczywiście moje wnioski.

Rozmawiamy też o Adamie, któremu radził wyjechać. Po wspaniałym debiucie przewroty polityczne niemal całkowicie skazały go na wieloletnie milczenie w kraju. Dotychczasowe działania i zaangażowanie Adama nie pozwalają, by działał tu jako pisarz, a więc nie miał żadnego wyboru. Sam Herbert nie chce udawać się na emigrację, ale nie mogę zapomnieć, że spędził na Zachodzie już długi czas, więc dysponuje kapitałem bezpieczeństwa. Wszystko, co go dotyczy, dzieje się na oczach Europy, w porównaniu z Adamem cieszy się znacznie większą ochroną. Oczywiście zazdrości Mrożkowi, którego podwójne obywatelstwo chroni przed wydaleniem z kraju – Herbert boi się tego najbardziej, dlatego nie waży się wyjeżdżać nawet w krótką podróż.

To niewielki problem, że nie może publikować. Już kiedyś przez dwanaście lat nie mógł niczego wydać. Wiadomo, młodzi znacznie lepiej znoszą taki stan, potrafią pisać do szuflady, pragnienie publikacji zachęca ich do pracy. On nie czuje już tej presji i ogarnia go szaleństwo przepisywania po kilka razy gotowego tekstu. Na marginesie wspominam, jak bardzo podoba mi się esej o Torrentiusie opublikowany ostatnio w „Twórczości”. Na jego twarzy pojawia się zadowolenie, najwyraźniej wielkich też poruszają te same grzeszne fluidy.

Pytam o młodych. Mówi, że nie bardzo ich zna, dla niego „młodym” już zawsze będzie pokolenie Nowaka. Mimo to podaje jedno czy dwa nazwiska, a kiedy je sprawdzam później, okazuje się, że rzeczywiście polecił mi tych najlepszych. Opowiada o Tomaszu Jastrunie, który ukrywał się u nich jakiś czas, gdy opuścił obóz dla internowanych, ale do przewidzenia było, że podobnie jak innych jego również będą prześladować, wzywać na przesłuchania i próbować pozyskać.

Jego sytuacja, opowiada, jest lepsza niż przykład jego dobrego przyjaciela Woroszyńskiego, który przed sześćdziesiątym ósmym był członkiem partii, na dodatek w latach pięćdziesiątych był pisarzem partyjnym, dlatego teraz traktują go jako renegata i jest wystawiony na represje ze strony wcześniejszych towarzyszy. Dostali od niego, mówi, dokładnie to, czego chcieli.

Bereż szanuje i ceni, są dobrymi przyjaciółmi, ale nie potrafi zrozumieć jego manii związanej z najnowszą prozą, co często było powodem ich sporów. W ciekawy sposób nie porusza kwestii sterylności ideowo-moralnej, ale według niego, co mówi nieco konserwatywnie, dzieło prozatorskie potrzebuje bohatera i historii. Chciałem z nim polemizować. Przyznaje też, że jeśli ktoś podjąłby się fabularnego zobrazowania występujących w rzeczywistości mechanizmów i relacji, nie zostałby opublikowany przez działanie cenzury. Położenie nacisku na fikcję oferowaną jako rzeczywistość jest w takim przypadku

bardziej obyczajowe. Przyznaje też, że należy podążyć wszystkimi ścieżkami, aby przekonać się, które prowadzą donikąd. Ale, dodaje, on sam nie wyruszyłby już w drogę.

Opowiadam mu o nowej węgierskiej prozie, o jej intymności, niewielkich kręgach wolności, o odważnej literaturze cywilnej, co go bardzo interesuje. Dostaję adres Polkowskiego, Kwiatkowskiego, Sommera i Szymborskiej oraz numer telefonu matki Tomasza Jastruna.

Jemu również zadaję pytanie o najważniejszych twórców poezji lat trzydziestych. Przynosi jedną antologię, z której wylicza nazwiska. Poleca mi Przybosia, Peipera, Kurka, Słonimskiego, Wierzyńskiego, Lechonia, Ważyka, Jastruna, Leśmiana, Staffa, Tuwima, Pawlikowską, Lieberta, Czechowicza, Zagórskiego.

Poprosiłbym go o tomik poezji, ale nie ma ani jednego. Zdarzyło się, że do publikacji wcześniejszej książki musiał pożyczyć egzemplarz z Francji. (Naturalnie książka nie miała być wydana w kraju). Co jakiś czas wchodzi pani Kasia, przysiadła się do nas, przysłuchuje się rozmowie, Herbert nieustannie żartuje, zrzedząc na nią. W trakcie rozmowy pijemy herbatę, którą przyniosła w dużym dzbanku. Daje Herbertowi lekarstwo, ten marudzi, że nie przy gościu. Uspokajam, że nie ma problemu, bo jestem lekarzem. Pani Kasia podaje maliny i czereśnie. Tak samo jak ja Herbert pali mocne, ale z powodu choroby żona zmusza go, by palił słabsze. Za jej plecami i za moją lekarską zgodą wypala kilka z mojej paczki. Wygłupia się i rzuca oszczerstwami pod adresem malin (w ironicznej rekompensacie tego, że w ogóle mają maliny, wszak owoce są niemal niedostępne). Po dwóch i pół godzinie spędzonych u Herbertów mam wrażenie, że przezwalałem w połowie możliwą jeszcze kiedyś do kontynuacji rozmowę. Zupełnie niezależnie od ich gościnności czułem, że kradnę czas niesamowitemu człowiekowi. Wydaje mi się, że – jeśli chodzi o nich – mogłem spokojnie zostać dłużej, lecz przecież nie odwiedziłem ich, żeby to sobie udowodnić.

Na siódmą jesteśmy zaproszeni do Á., jak się okazuje, na wystawną kolację. Jego żona ugotowała na parze ogromnego kalafiora z innymi warzywami, lecz nie w ilości wystarczającej dla siedmiu osób. Razem z ich córką oraz M.³³ z żoną jest nas siedmioro, okazujemy skromność i pozostajemy nienajedzeni. Ich mieszkanie jest duże, ma cztery pokoje. Na ścianach w gabinecie wiszą piękne, pochodzące z komitatu Baranya serbskie ikony malowane na szkle. W porównaniu z podobnymi siedmiogrodzkimi malowidłami są surowsze i bardziej odpowiadają kanonowi. Z kasety magnetofonowej odsłuchujemy program o majowych demonstracjach i ostrzale we Wrocławiu, który Radio Solidarność nadało kilka dni po zajęciach. Wyraźnie słychać głos oficera wydającego rozkaz otwarcia ognia, wybuch granatów łzawiących i dźwięk broni palnej. Á. pokazuje i pożycza różne materiały, wśród nich jest węgierskie tłumaczenie dziennika Woroszylskiego z pięćdziesiątego szóstego roku. Swoją drogą przekład nie jest profesjonalny, weźmy, ot, słowo „czerwienić się”, zamiast którego pojawia się „blednąć”. Przykładów na to, że tłumacz nie jest obyty w jednym z języków, a wyboru synonimów nie uzależnił od kontekstu,

³³ Jacek Maziański.

jest jeszcze dużo. Większość błędów wskazuje, że dokonał go Polak. Tak w ogóle, Woroszyłski, jako wpływowy komunista, propagował po powrocie słuszność węgierskiej rewolucji, latami jeździł po kraju z wykładami, w których dzielił się swoim doświadczeniem. Zaprzestał tego po ustąpieniu Gomułki i gdy ten po cichu wygłaszał odmienne poglądy o kwestii węgierskiej. Pozostał w partii do marca 1968 roku, ale był coraz mniej wygodnym członkiem. Można powiedzieć, że węgierskie przeżycia i doświadczenia w dużym stopniu przygotowały Woroszyłskiego do zmiany poglądów, w rezultacie czego jest dziś jednym z głównych wrogów systemu.

M. cierpi na wrzody i spędza całe dnie w łóżku, dopiero po długich namowach A. przyjechał się z nami spotkać. Mimo choroby najadł się do syta kalafiorom i podejrzewam, że nie miał ochoty widzieć się z nami. Jest energicznym, aroganckim czterdziestolatkiem o końskiej twarzy, kimś, kto nie lubi ceregieli i zazwyczaj ma konsternujące zdanie o sprawach i innych ludziach. Teraz też wtrąca swoją opinię, całą nadzieję pokłada w pogorszeniu sytuacji, konkurencji gospodarczej i zaostrzeniu zimnej wojny, wyczerpaniu oraz utracie gospodarczej i wojskowej pozycji przez Związek Radziecki, co przyniesie Polsce wolność lub warunki, w których Stany Zjednoczone podyktują nowy *status quo*, albo sytuację, w której radzieckie narody wykażą większą aktywność, a chylące się ku upadkowi imperium nie będzie w stanie ich dłużej utrzymać. Według niego sens i główny cel opozycji to wsparcie i przyspieszenie tego procesu przy ciągłym utrzymaniu ogniska kryzysu oraz powstrzymywanie kształtowania się nowych działań łagodzących, które umożliwiłyby ukrycie ciemńskiej istoty systemu pod płaszczem reform. Jego zdaniem socjalizm jest z racji bytu niezdolny do odnowy. Zwracam mu uwagę, że popełnił błąd logiczny, argumentując swoją wypowiedź tym, na co liczy: skoro system nie jest zdolny do sanacji, nie można wyobrazić sobie strategii polegającej na powstrzymaniu reform. Jego wzburzenie jawi się jako zaskakujące i przestaje dostrzegać jakkolwiek logikę, dlatego mówię mu później, że nie mam teraz więcej argumentów. Przyznaję, że obce są mi krąg pojęciowy i zestaw racji, których używa, nie miałem jeszcze okazji się z nimi zapoznać. Najbardziej zaskakuje mnie – wbrew moim wyobrażeniom, a przynajmniej według tego, co przedstawił – że polskie i węgierskie interesy nie tylko nie są wspólne, lecz także przeczą sobie wzajemnie. My, Węgrzy, pokładamy nadzieję w takim procesie reform, który przebiega w konkretnym, rzeczywistym, choć niespełniającym naszych oczekiwań, tempie. Uważamy, że możemy rozwijać się w takim stopniu demokratyzacji i socjalizacji naszego systemu, w jakim „możemy pociągnąć za sobą” inne kraje regionu i sam Związek Radziecki, wszak chyba największe zagrożenie upatrujemy w tym, kiedy za bardzo różnimy się od innych. Nie jest przypadkiem, że dialog potępiający konfrontację właśnie u nas przybrał formę ruchu³⁴. M. mówi, że od pięciu lat nie widział w Polsce żadnych oznak pokoju, co nie jest przypadkowe. Polacy dobrze wiedzą, że pociski skierowane na Warszawę przyniosą im wolność.

³⁴ Głównie niezależnego ruchu pokojowego, tworzącego się w kręgach studenckich. Był szczególnie silny w Pécsu, gdzie osobiście znałem jego przedstawicieli. Jesienią 1983 roku ruch został praktycznie rozwiązany.

Ciekawe, że jego wykład wywołuje we mnie niemal fizyczny strach. Nie jego się obawiam. Jest spokojny, rodzinny wieczór, obok nas bawi się dwójka dzieci, na stole leżą resztki posiłku, pojawiła się też butelka palinki. Bardziej odczuwam mrowienie skóry na czole, jak gdyby przystawiono mi pistolet do skroni i po raz pierwszy w życiu uświadamiam sobie, że ktoś może nacisnąć ten konkretny guzik.

W milczeniu i głównie pieszo wracamy późno w nocy do domu. Dokonuję przeglądu moich opinii politycznych. Zastanawiam się, czy jest takie logiczne odgałęzienie, boczna ścieżka, która może prowadzić do tych szalonych wniosków, i czy istnieje bezpieczna granica między reformatorskim systemem myśli a przymusem rozróżnienia czerni i bieli. Odpowiedź jest uspokajająca, ale ten stan przypomina odczucia człowieka, który w ostatniej chwili unika śmiertelnego niebezpieczeństwa, nie zdając sobie sprawy, jak było ono blisko.

Do tego wątpliwości natury moralnej, a właściwie dotyczące budowania pewności siebie. Bo czegoż się przestraszyłem? Czyż nie tego (zakładając, że M. ma rację i moje aktualne stanowisko jest tylko wahaniem i brakiem konsekwencji), że ja również, z egzystencjalnego punktu widzenia, muszę wkroczyć na bardziej ryzykowną drogę otwartej konfrontacji? Obawy są chyba słuszne, bo wiem, jak bardzo jestem tchórzliwy, jak trzęsę się przed wizytą u dentysty... I żeby nasza historia potoczyła się tylko tak, że będziemy musieli zdać sobie sprawę ze znaczenia i serca, a nie z nieczułości na fizyczny ból! A może tak jest w rzeczywistości?

6 lipca. Środa

O dziewiątej idę tłumaczyć do biblioteki. O dziesiątej jestem umówiony w redakcji „Tu i Teraz”. Wizyta została częścią programu wyrażnie na życzenie pani Wiechno. Tygodnik został założony po wprowadzeniu stanu wojennego głównie nowymi siłami po zamknięciu dwóch wcześniejszych czasopism („Kultura” i „Literatura”). Herbert miał krytyczną opinię na ich temat.

Przyjmuje mnie Leszek Żuliński, redaktor działu krytyki. Jest mniej więcej w moim wieku. Akurat ma do wykonania kilka telefonów, prosi, bym chwilę zaczekał, zamieniamy kilka słów. Młody, zapracowany, energiczny człowiek o nieco głupkowatym wyrazie twarzy. Pyta, co tłumaczyłem do tej pory. Wątpi, by Miłosza można było u nas wydać, według jego oceny działa on ostatnio z Barańczakiem i Tymoteuszem Karpowiczem w antypolskim Komitecie. Aczkolwiek Barańczak, mówi, choć nie z oryginalną twórczością, to jest jednak obecny na rodzimym rynku książki. Właśnie wydano E. E. Cummingsa w jego wyborze, a wcześniej zredagowaną i przetłumaczoną przezeń *Antologię angielskich poetów metafizycznych XVII stulecia*. Brandys, celem ocalenia literatury polskiej, założył w Paryżu wydawnictwo.

Kończy telefony i idziemy kilka przecznic dalej do kawiarni. Rozmawiamy o tłumaczach. Tadeusz Olszański³⁵ jest jego dobrym przyjacielem.

³⁵ Tadeusz Olszański (ur. 1929) – dziennikarz, tłumacz literatury węgierskiej. Jego matka miała węgierskie pochodzenie i jako uchodźczyni przybywała na Węgry w czasie wojny. Jego przekład *Chłopców z Placu Broni* Ferencza Molnára osiągnął zawrotny nakład. W latach 1986–1990 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Budapeszcie.

W centrum zainteresowań pisma są literatura i kultura, co oznacza, że periodyki posiadają dużo materiałów związanych z filmem, teatrem, życiem muzycznym i ogólnymi sprawami kulturalnymi. Publikują ponadprzeciętną ilość recenzji książkowych, na łamach jednego numeru zajmują się 12–17 tytułami. Do innych głównych zadań – tak mówi – należy publicystyka polityczno-ideologiczna. Starają się kształtować dialog z różnymi warstwami inteligencji. Większość artykułów analizujących przeszłość i studiujących przyszłość wychodzi spod pióra badaczy uniwersyteckich.

Co się tyczy literatury pięknej, nie jest w stanie określić stabilnej gwardii autorów. Powinienem zauważyć, że brakuje im jeszcze służącej temu tradycji, istnieją zaledwie od czerwca ubiegłego roku. Dostaję kilka egzemplarzy: z szesnastu stron 23. numeru z 8 czerwca 1983 roku tylko jedna z wierszami Józefa Lenarta (sekretarza partyjnego Związku Literatów), obok nich ogromny drzeworyt. W numerze 24. również na jednej stronie, także obok półstronicowej ilustracji, przekład wierszy Jules’a Supervielle’a. W numerze 25. znów na połowie strony poezja niejakiej Ewy Bujalskiej. W kolejnym – jednostronicowe tłumaczenie syberyjskich opowiadań Haška, a na połowie kolejnej strony wiersze nieznaczącego poety Jana Goczola. W 27. numerze jeszcze jeden przekład Haška (cała strona), jednostronicowa nowela Tadeusza Chróścielewskiego i wiersz Tadeusza Uragacza (pół strony).

Co do krytyki, panuje znacznie silniejsza polaryzacja, mówi. Współpracują z zamkniętą grupą głównie młodych autorów, których większość nie publikuje nigdzie indziej. Silny podział jest obecny w całym życiu literackim, co niekoniecznie widać w prasie, a ci, którzy piszą u nich, reprezentują tylko wycinek całości. Inni, w pierwszym rzędzie tacy, którzy milczą, oraz publikujący w podziemiu i wydający za granicą to ci, którzy „odchodzą”.

Opowiada o jednym znanym pisarzu, Jacku Bierezinie (możliwe, że też go znam), który nigdy nie publikował legalnie. Dopóki żył w kraju, wydawał w podziemnym „Pulsie”, od stanu wojennego mieszka w Paryżu. Konsekwencją tego wszystkiego – zaczyna łagodnieć – jest to, że bardzo ciężko zdobyć oryginalne materiały. Mówi, że większość utalentowanych twórców należy do opozycji: Bocheński, Konwicky, młody Jastrun, Nowakowski, Andrzejewski (póki żył).

Konwicky zajmuje się ostatnio niemal wyłącznie polityką, co w pewien sposób wpłynęło niekorzystnie na jego książki. W czasie „Solidarności” wyszła *Mała apokalipsa*, która, niestety, bardzo przypomina Orwella. Wydane wcześniej w podziemiu *Rondo Brandy* ukazuje się teraz w państwowym wydawnictwie. Według niego Kornel Filipowicz też należy do opozycji, co mnie dziwi, gdyż jest zastępcą redaktora „Pisma” i systematycznie w nim publikuje, choć Żuliński wie, że „Pismo” na próżno działa legalnie i jest nie do zaakceptowania, z konsekwencjami czego spotykam się później w Krakowie.

Podczas gdy pijemy herbatę, mogę mu się lepiej przyrzeć. Głupi wyraz twarzy podkreślany przez marszczenie czoła jest spowodowany osadzonymi zbyt blisko siebie oczami. Nienaturalnie wymawia podwójne „n”. To niepokojący objaw zdradzający neurotyczny brak pewności siebie.

Do największych sukcesów ostatnich miesięcy należy tak zwana literatura rozrachunkowa, na przykład *Dygnitarz* Janusza Łaniewskiego i *Gra* Jerzego Ambroziewicza, które są niezwykle banalne, płytkie i mają plotkarski charakter.

Literatura zaangażowana niestety nie potrafi stanąć na nogi. Skoro on to mówi, wiem, że nie ma na myśli literatury zobowiązanej wobec partii – polski *engagement* od dawna jest zsekularyzowany i daje się w nim dostrzec podstawowe stanowisko krytycznoliterackie podobne do naszej literatury „ludowej”. Utwierdza mnie w tym, cytując Sandauera. To, co powiedział w pięćdziesiątym szóstym, jest aktualne także dzisiaj: otworzyli szuflady i okazało się, że są puste. Inna kwestia, jak bardzo Sandauer nie miał wówczas racji – z tych szuflad spośród wielu wyłonił się Nowak, Woroszyński (nowy Woroszyński, naturalnie), całe pokolenie gorzkiej poezji pięćdziesiątego szóstego roku, zdelegalizowana lub zmuszona do emigracji radykalna, lewicowa filozofia lat 1968–1969 itd.

Co do kwestii technicznych, sytuacja jest beznadziejna. Czas wydania książek trwa średnio pięć lat, kiedy to maszynopis leży głównie w drukarni. Kryzys związany z brakiem papieru jest pogłębiony przez niewystarczającą ilość maszyn. Honoraria pozostają bardzo niskie. Okazuje się jednak, że i tak są znacznie wyższe od węgierskich i to po podwyżce cen.

W poezji ostatnim boorem (używa tego słowa – już wspominałem, że jest bardzo energiczny) była Nowa Fala. Jej przedstawiciele od 1975 roku szybko ulegli radykalizacji i w rezultacie wypadli z legalnego obiegu kultury, a ponieważ ówczesne wydawnictwa podziemne ograniczyły się do kwestii politycznych, wyłączyli się z życia literackiego w ogóle. Poezja po Nowej Fali uległa zróżnicowaniu, obok ich epigonów głównym kierunkiem była Nowa Prywatność i powrót do „Współczesności” (pokolenia '56).

Obecnie nie istnieje żadne pismo młodych porównywalne z „Nowym Wyrazem” i „Nurtem” z lat siedemdziesiątych, choć jest dużo tytułów. W 1976 roku ukazało się trzydzieści pięć debiutów, dwa lata później już ponad osiemdziesiąt. Obecnie jest ich znacznie mniej, ale nie należy wyciągać z tego pochopnych wniosków. Wydawcy dokonują silnego przesiewu, gdyż debiutanckie tomiki przynoszą najmniej zysku.

W rezultacie nikt nie ma pojęcia, co właściwie dzieje się teraz w poezji. Spośród najzdolniejszych zwraca moją uwagę na Antoniego Pawlaka. Smuci go, że od stanu wojennego on również zasilą szeregi opozycji.

Faktem jest, że w ostatnich kilku latach największe, najbardziej pamiętne publikacje są autorstwa pisarzy starszego pokolenia. *Mapa pogody* Iwaszkiewicza, *Rękopis znaleziony we śnie* Anny Kamieńskiej, *Inna wersja* Mieczysława Jastruna były literackimi rewelacjami. Miejsce w tej przestrzeni zajął też Miłosz. W czasie „Solidarności” – jak mówi, „od sierpnia do grudnia” – literatura polska składała się niemal tylko z Miłosza.

Tym samym punkt ciężkości przeniósł się do teatru, który dla społeczeństwa jest ostatnim filarem wolności – świadczą o tym półgodzinne oklaski i demonstracje na widowni.

„Artystyczna rewolucja” Berezy objęła tylko prozę. Począwszy od lat siedemdziesiątych zdobywa coraz większe poparcie wśród pisarzy urodzonych między czterdziestym i pięćdziesiątym rokiem. On sam ma 34 lata i opowiada o swoim pokoleniu,

jego obawach, rozpoznaniu kruchej rzeczywistości, trudach odnalezienia tożsamości. Jego lepszą część reprezentują następujące tytuły: *Ucieczka do nieba* Jana Komolki to metafora zakładu poprawczego. Opublikowana w 1981 roku została nagrodzona już w 1972 roku. *Maska i Puszka Pandory* Marka Sołtysika. *Oficer* Tadeusza Siejaka, którego akcja toczy się w środowisku robotniczym, to bezbłędna i pozbawiona apoteozy powieść produkcyjna. Jego zdaniem Siejak zasługuje na największą uwagę. Podejrzewam, że zamiast „apoteoza” chciał powiedzieć „apologia”, ale nie da się zrobić wszystkiego równocześnie. *Wizjer* i *Wióry* Krystyny Kofy bez upolitycznienia obrażają dzieciństwo naszego pokolenia przypadające na lata pięćdziesiąte. Józef Łoziński dzięki powieściom *Chłopaćka wysokość* i *Apogeum* należy do najzdolniejszych pisarzy nurtu wiejskiego. Za dobrych uznaje Janusza Andermana i Marka Słyka.

Co się tyczy literatury wiejskiej, jako pierwszego wymienia Wiesława Myśliwskiego. Swoją drogą to główny redaktor kwartalnika literackiego „Regiony”. Ukazującą się na łamach „Twórczości” powieść *Kamień na kamieniu* Myśliwski pisze od dziesięciu lat. Według Berezę to dzieło rangi światowej, on też je docenia, choć nie tak odważnie. Epopeja chłopskiego losu sięgająca wstecz do przełomu wieków jest pisana metodą dygresyjną.

Wracając do „rewolucji artystycznej”, wspomina jeszcze o *Podróżach* Andrzeja Górnego i opowiadaniach Janusza Węgiełka. Jan Drzeżdżon to pisarz kaszubski, protegowany Berezę. On też należy do tego nurtu, gdyż nie używa konwencjonalnego języka, choć jego technika ma głównie źródła psychologiczne, rzeczywistość społeczno-polityczna interesuje go znacznie mniej.

Swoją drogą, Komolka i Anderman też milczą od „grudnia”.

Co do poezji, spośród twórców Nowej Fali, którzy zostali w kraju, wymienia Kornhausera, Krynickiego, Stabrę, Jaworskiego i Karaska. Stabro, jak widać, ostatecznie zerwał z Nową Falą. Jaworski jest w Krakowie, ale nie wiadomo, co z nim. Wiersze Kornhausera i Krynickiego nie ukazują się od dawna, sądzi, że mają zakaz publikacji. Karasek wydaje tylko wcześniejsze dzieła. Wygląda na to, że od lat nie ukazał się ani jeden wers pióra przedstawicieli Nowej Fali.

Powołuję się na świeże studium Sterni-Wachowiaka w „Poezji”, według którego krytyczny program Nowej Fali jest aktualny także dziś, co więcej, wydarzenia ostatnich lat potwierdziły jego ostrzeżenia. Według niego opozycja przedstawicieli Nowej Fali wobec kursu po 1968 roku przyniosła im moralne zwycięstwo, lecz artystycznie poeci ponieśli klęskę. Ich język jest kolektywny i w rezultacie nie mają wybijających się reprezentantów, trudno ich od siebie odróżnić. Stworzyli funkcjonalnie znaczącą, ale mniej zindywidualizowaną poezję. Dwadzieścia, trzydzieści lat później ich dzieła będą już tylko historycznymi dokumentami, bo upływowi czasu opierają się tylko wyjątkowe jednostki. To tragedia Nowej Fali. Ich wydane między 1968 i 1974 rokiem książki już straciły na aktualności – to, co zostało w nich zawarte, wydaje się naiwne w porównaniu z tym, co wydarzyło się później. Wraz z upływem czasu ta tragedia będzie coraz bardziej oczywista.

Siedzimy naprzeciwko siebie. Ja też mam już dość polityki i ubolewam nad literaturą. Gdyby tego młodego człowieka ugryzła w szyję jakaś pozahistoryczna moc i przeniosła

go ponad Tatrami i górami Mecsek na moje miejsce do redakcji „Jelenkoru”, zamiana byłaby niemal niezauważalna, choć wszyscy, których z punktu widzenia podstawowych zasad estetyki muszę uznać za najlepszych polskich poetów, upatrują w nim kolaboranta, bojkotując jego pismo i głęboko nim pogardzając. Poza tym nie jestem tak energiczny, nie marszczę czoła jak głupi oraz potrafię jeszcze wymawiać podwójne głoski.

Różnica polega jeszcze na tym, że u nas dziesięciu – dwunastu pisarzy, poetów szuka szczęścia w opozycji politycznej – kierując się nawet najczystszyimi intencjami, nie wierzę w przypisywane im podejrzenia – tu zaś robią to wszyscy z wyjątkiem dziesięciu – dwunastu. Żuliński żyje w kraju, który przez stulecia, ze zmiennym szczęściem, walczył z Rosjanami i po raz pierwszy spotkał się ze Związkiem Radzieckim, gdy nie był jeszcze światową potęgą. Żyje w kraju, gdzie w ostatnich czterdziestu latach zaoferowano trzy warianty socjalizmu i każdy z nich zakończył się ostrzałem, po którym robotnicy i studenci tonęli w kałużach krwi na ulicach Warszawy, Poznania, Gdańska, Radomia, Wrocławia i ponownie Warszawy; gdzie tablice pamiątkowe o dziesięciu, osiemdziesięciu, stu pięćdziesięciu ofiarach armii okupanta wiszą na co drugim rogu ulicy; gdzie zatem radykalne decyzje sięgnięcia po broń napotykały znacznie mniejsze przeszkody. W tekstach węgierskiego drugiego obiegu można przeczytać, że w Europie Wschodniej tylko raz zdarzyło się, by rozwój społeczno-polityczny przebiegał równolegle w dwóch krajach. Miało to miejsce w 1956 roku w Polsce i na Węgrzech. Na podstawie późniejszej historii – jakkolwiek ta paralela nie byłaby bliska mojemu sercu i nie traktowałbym jej jako najwyraźniej potrzebnej i ulubionej utopii – sądzę, że ta rzekoma analogia była jedynie spotkaniem podróźnych idących w przeciwnych kierunkach. I chciałbym wierzyć, że nasze aktualne podobieństwo, to, czym możemy się niemal wymienić, też jest takim spotkaniem w drodze.

Idź z Bogiem, Leszku Żuliński. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak wielkim jesteś tchórzem, co ja o sobie wiem bardzo dobrze. Ty chciałbyś być jeszcze bardziej zajęтым, ważniejszym człowiekiem, który jeszcze mocniej marszczy czoło. Ja zaś nie chcę, by moje znieczulenie było tym, na czym skorzysta moja ojczyzna.

Chciałbym tak prosto stłumić swoje wątpliwości.

Za namową Osińskiego razem z Gabi odwiedzam w południe Szymanowskiego w redakcji „Dialogu”. Jest młodym, szczupłym, wysokim Żydem przed trzydziestką, o czarnej brodzie. Jeśli wolno mi typizować, nie sprawia wrażenia wszechwiedzącego, ale cechuje się autoironią. Gabi jest nim zauroczona. Szymanowski poleca nam sztuki kameralne Janusza Głowackiego, Filipa Bajona, Jonasza Kofty, Sławomira Mrożka i Zbigniewa Herberta. Głowacki od dwóch lat mieszka w Ameryce. Mroźek, jak wiemy, ma podwójne, polsko-francuskie obywatelstwo. Jest to ważne z punktu widzenia praw autorskich. Polski teatr, zdaniem Szymanowskiego, w przeciwieństwie do węgierskiego, cechuje obecnie tendencja spadkowa. Mówiąc to, ma na myśli teatr w Kaposvárze. Raz w Ministerstwie pani Wiechno wcisnęła mi do ręki najnowszy numer „Dialogu”, który przeglądałem, kiedy zajmowała się innymi sprawami. Widziałem w nim artykuł Szymanowskiego o Maracie. Był u nas latem, a znajomi natychmiast skierowali go

do Kaposváru. Mówimy, że często tam bywamy, a sztukę Petera Weissa widzieliśmy trzykrotnie. Opowiadamy mu o wyreżyserowanym przez [Dezső] Garasa spektaklu *Búcsúelőadás* (*Przedstawienie pożegnalne*) Pétera Müllera. Niewiele o nim wie, słyszał, że to świetny spektakl zrobiony z dość średniej sztuki, co potwierdzamy. Obiecujemy, że prześlemy mu jego tekst. Zostawiamy mu nasz adres. Ustalamy, że zadzwonimy dwudziestego siódmego na wypadek, gdyby coś jeszcze przyszło mu do głowy.

Jemy obiad tam, gdzie zwykle. Później wracam do biblioteki i przeglądam pierwszy rocznik „Skamandra”. Spieszę z powrotem na szóstą, w budynku Związku Literatów mam umówione spotkanie z K. Idziemy do nas na herbatę. Gdy gotuje się woda, rozmowa utyka, K. boi się, że w pokoju jest podsłuch, co wydaje się prawdopodobne, jeśli nie przez wzgląd na mnie, to z uwagi na niepewną sytuację polityczną i wątpliwy skład członkowski Związku Literatów. K. pyta się, czy w pokoju nie ma pluskiew. Przyznaję, że nie bardzo się tym zajmowałem, a gdybym nawet próbował, to i tak niczego bym nie znalazł, bo się na tym nie znam. Szybko wypijamy herbatę i idziemy do cukierni w okolicach Rynku. Gabi uprzedza, że tym razem nam wypada zapłacić. Niestety jestem okropnie zmęczony i ledwo potrafię się komunikować. Przeszkadza mi początkowa nieufność K., a później to, że chce przekazać za moim pośrednictwem materiały, na co z kolei ja nie potrafię nie zareagować brakiem zaufania i zamiast zapytać wprost, o jakich materiałach jest mowa, i uzależnić od tego moją decyzję, odpowiadam wymijająco, powołuję się na moje problemy z Ministerstwem i mówię, że z pewnością skontrolują mnie na granicy, co on, dość słusznie, uważa za tchórzostwo. Choć naturalnie przewiozłbym tekst literacki, mniej chętnie polityczny, zależałoby to od jego charakteru i znaczenia. Podjęcie decyzji odkładamy na kilka dni. Równa się to wymijającej odpowiedzi, czego się wstydę i klnę przez to w duchu. O ile prościej byłoby kategorycznie odmówić. Znam kilku poważanych Węgrów, którzy głoszą w kraju znacznie bardziej radykalne opinie o Polsce niż ja, lecz od takiego osobistego ryzyka „z zasady” się odcinają. Wystarczy, jeśli pomyślę o doświadczeniu z pismem „Új Symposion”³⁶ – iluż to zrezygnowało z udziału w tym przedsięwzięciu, podczas gdy ja, „ugodowiec”, „marksistowski playboy” (pomysł Józsefa Szervácza) i „zaangażowany literat” zostałem niemal sam. Nie żebym kiedykolwiek tego żałował, ale prawda jest taka, że moja chęć zostania bohaterem, chwała Bogu, już dawno minęła.

Szkoda, że nie jestem dziś w lepszej formie. K. ma szeroki punkt widzenia i jest obiektywny. Nie ma w nim nic z fanatyzmu M. Podobnie jak Herbert rezerwy opozycji szacuje na półtora roku. Jego zdaniem główny cel dysydentów, przede wszystkim w polityce wewnętrznej, to wymuszenie kompromisu, jednak K. nie wierzy, by Wojtek i reszta byli skłonni do jego wypracowania.

Ja zaś uważam, że szeroki punkt widzenia cechuje tego, kto myśli podobnie jak ja.

³⁶ Po puczu Jaruzelskiego czasopismo „Új Symposion” z Nowego Sadu zaplanowało specjalny numer poświęcony Polsce i poprosili Andrása Pályiego o zebranie węgierskiego materiału, z kolei Pályi włączył w to także mnie. W końcu przygotowaliśmy dość niewiele tekstów, w numerze ukazały się moje dwa sonety, za co w łagodniejszej formie pociągnięto mnie do odpowiedzialności (była to pogawędka z pogroźkami).

Na uczelniach trwają czystki. Doszło do zmian na szczeblu rektorskim, wzmocniono pozycję większości ludzi systemu. Zwolniono tych wybranych w czasie „Solidarności”, którzy nie złożyli wypowiedzenia lub których jeszcze nie zmuszono do rezygnacji. Lustracji niższych szczebli powinny dokonać komitety utworzone z rektorów lub ich zastępców, partyjnych sekretarzy uczelni, kierowników wojskowych katedr i wojewódzkich służb bezpieczeństwa. Na razie nie udało się utworzyć ani jednego takiego komitetu. Toczą się dyskusje prawne nad konstytucją, gdyż podczas stanu wojennego nie można takiego postępowania pogodzić z przyjętym prawem o szkolnictwie wyższym. Za powikłaniami prawnymi, rozpatrywanymi choćby w świetle poziomu naukowego, stoją oczywiście czynniki polityczne. Dla nowych rektorów zwolnienie członków „Solidarności” sięgające 80–90 procent pracowników to również trudne zadanie.

Co do ugruntowania systemu, to do dziś z partii odeszła jedna trzecia członków. Licząc wojsko, milicję, aktualnych kierowników gospodarczych i członków aparatu politycznego, Wołtek dysponuje półtora-, dwumilionową bazą, która teoretycznie nie będzie wzrastać – w czasie inflacji nie da się nikogo przekupić.

Według K. ostatnią szansą partii był kryzys roku siedemdziesiątego szóstego. Ale kiedy wspominam o ruchach lat osiemdziesiątych i nazywam je „ostatnią szansą” na odnowę, nie dyskutuję. Prawda jest też taka, że „Solidarność” popełniła w tym względzie poważny błąd: opisała całą partię taką, jaka jest, zachęcając jej członków i zwolenników do wystąpienia z jej szeregów. Ale, dodaje, te błędy wynikają też z tego, że „Solidarność” to tak naprawdę ruch masowy, co spowodowało taktyczne trudności. Rola i wpływ ekspertów były mniejsze, niż oficjalnie podawano, a rosnąca nietolerancja „Solidarności” jest raczej wyrazem tłumnych nastrojów – specjaliści byli ostrożniejsi i mieli bardziej trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość. Niestety nikt ich nie słuchał. Spośród nich Kuroń i Modzelewski byli partyjnymi reformatorami sprzed 1968 roku. W kontekście tego K. dzieli się plotką, że niebawem wypuszczą na wolność wszystkich z wyjątkiem Kuronia. To kolejny dowód na to, że ruch jest bardziej surowy wobec renegatów.

Niestety zapominam zapytać, jakie jest jego zdanie o ponownym zniknięciu Wałęsy. Słyszeliśmy o tym wczoraj u Á.: rzekomo wyjechał z rodziną z Gdańska. Stocznia oświadczyła, że jeśli nie przyniesie zwolnienia lekarskiego, to wyrzucą go z pracy. Á. powiedział, że skoro zdecydował się na to, w takim razie z pewnością chce, by go zwolnili. Kroki Wałęsy zazwyczaj komentowane są następująco: trudno go przejrzeć, ale mogą być pewni, że dobrze wie, co robi. Ten elektryk o bujnym wąsie postrzegany jest jako niesamowicie wiarygodny. M. podaje w wątpliwość, by jego zniknięcie miało związek ze służbami bezpieczeństwa, ale pewnym być nie można.

7 lipca. Czwartek

Rano spieszę do redakcji Czytelnika. Na rogu wpadam na starego malarza profesora. Natychmiast chwytą mnie za kołnierz i zmusza do cikiwej rozmowy. Mówię mu, co uzgodniłem z Gabi, że wieczorem – z pewnych niezwykle ważnych powodów – nie możemy zaszczyścić go naszą obecnością. Jak to z nim – umęczonym starcem

gadulą – wszystko się udaje, ale pod żadnym pozorem nie możemy tego zrobić pani Hance. Sprytnie obmyśliłmy, że przed południem Gabi odwiedzi mistrza w jego pracowni i delikatnie mu oznajmi, że wieczorem jesteśmy zaproszeni do przyjaciela, żeby obejrzeć jego doświadczenie. Wierząc, że w takiej sytuacji aktorka będzie bardziej przekonująca, wyjaśnienie sprawy zostawiłem Gabi, wyrwałem się z ramion starego i pobiegłem dalej.

W Czytelniku oczekiwał mnie Klemens Górski, cichy i skrupulatnie wyrażający się człowiek o krogulczym nosie i rudej, przystryżonej brodzie. Niebawem wydadzą wiersze zebrane Jastruna, zbiór poezji Tuwima oraz wybrane wiersze Zagórskiego. Ukazała się *Sadza* Ernesta Brylla, a w przyszłości opublikowane będą cztery tomy dzieł Marka Hłaski.

Nie jest zbyt wylewny, niemal trzeba ciągnąć go za język, odpowiada tylko na pytania. Czas wydania książki to obecnie cztery lata, co go niezwykle trapi. Mówię, że u nas od dawna trwa to tak długo, przy czym w Polsce były to wcześniej najwyżej dwa lata. Poezja czeka na publikację wyjątkowo długo, ponieważ jest mniej opłacalna. Zatem wina nie zawsze leży po stronie drukarni. Koszt jednego tomiku to około 170 złotych, co przy obecnych cenach książek znaczy trzykrotną dopłatę bez względu na wynik sprzedaży. Rocznie wydają od 100 do 120 tytułów, z czego 20 stanowi poezja.

Cenzura, o którą pytam dość niepewnie, jest tu całkowicie jawnym tematem rozmów, czyli jej urząd istnieje. Podczas stanu wojennego należało tam przedstawić maszynopis, co było bezwzględny zarządzeniem. Dziś teksty po pierwszej korekcie wędrują do Okręgowego Urzędu Kontroli Książki, Prasy i Widowisk. Ingerencje cenzora nie są rygorystyczne (zakaz publikacji), raczej mają charakter poprawek i modyfikacji.

Prowadzi mnie do działu reklamy, gdzie za jednym wyjątkiem dostają wszystkie książki, które mnie interesują. Tej jednej – mowa o *Wiórach* Kofty – nie otrzymuję, bo w magazynie zostało już tylko dwanaście egzemplarzy. Na dokładkę dostają trzy książki, które po późniejszej lekturze okazują się czystym marnotrawstwem papieru.

Dźwigam do domu łup, po czym ruszam pieszo do redakcji „Poezji”. Jest to pierwsze czasopismo literackie, z którym się spotkałem jeszcze w 1966 roku, kiedy z bohaterским nastawieniem, w ortalionowych spodniach, w parze japonek (których pasek pękł już pierwszego dnia) i z teczką pod pachą (jej ucho również było urwane), ale za to głodny przygód – i z pustym żołądkiem – podróżowałem po Polsce autostopem. Kupiłem wtedy jeden z numerów „Poezji”, który wówczas, gdybym nie był uparty, a w wynajętym pokoju nie czytał i nie deklamował do świtu Attili Józsefa, mógł otworzyć przede mną świat znacznie nowocześniejszej poezji niż węgierska. Zabrałem się tylko, z dość sporymi problemami, za przetłumaczenie jednego wiersza Jastruna, z którym nie widziałem, co począć dalej. Jak można napisać wiersz o zdrewniałych konarach drzewa – „rozwichrzenie drzewa w konary”, pisze Jastrun³⁷. Jedynie szkic Lorki o Duende przeczytałem z przyjemnością. Ze zdziwieniem oglądałem fotoreprodukcje rzeźb – musiało upłynąć

³⁷ Gábor Csordás pomylił się. Cytowany wiersz (*Stare drzewo*) napisała Anna Pogonowska i ukazał się w lipcowym numerze „Poezji” z 1967 roku. Esei Federico Garcíi Lorki ukazał się w tym samym numerze (przyp. tłumacza).

niemal dziesięć lat, żebym dowiedział się, czym jest „mobil”. Cóż, nie byłem zbyt pojętny, okazał się taki dopiero Tibor Zalan, nasz nowy Kassak³⁸. Czy w 1966 roku wiedział, czym jest ten „mobil”? I czy wchodzi to w zakres końcowego egzaminu?

Bohdan Drozdowski, redaktor naczelny „Poezji”, mógł podejrzewać, jakim nieudolnym czytelnikiem byłem. W każdym razie zupełnie zapomniał o umówionym spotkaniu. Pół godziny czekałem na korytarzu redakcji, siedząc przy wybrakowanym biurku, rozmyślając o długiej i dość zawitej drodze, którą pokonałem od pierwszego kontaktu z pismem. Od tamtej pory często tłumaczyłem tych „nowoczesnych” poetów i bardzo dobrze wiem, że mimo różnic w formie i tradycji (jeśli ich porównanie byłoby sensowne, z pewnością wypadłoby na korzyść Polaków) polska poezja jedzie na tym samym wózku, co węgierska. Jeśli wózek się zepsuje, nie będzie miała innej możliwości, bo jeśli zsiądzie z niego i ruszy pieszo, nie będzie cieszyć się wcale większą wolnością – raczej utykając, zacznie stąpać po kolcach. Jeden z moich rówieśników zaczyna je wydłubywać z sykiem, drugi pokazuje z cierpienniczym spojrzeniem i współczuciem. Inni zaś szukają spokojnie małego ciernia, bo wydaje im się, że zbolaty wyraz twarzy jest już istotą poezji.

Korytarzem przemyka grubawy, brodaty, na pierwszy rzut oka porywczy mężczyzna, który wchodzi z hałasem do gabinetu szefa – pewnie czekam na niego. Po chwili wychyla się sekretarka i zaprasza mnie do środka. Drozdowski wyrzuca z torby na stół grube pliki maszynopisów. Dobrze pamiętał o naszym spotkaniu, lecz szedł dziś pieszo do pracy. No dobrze.

Od początku rozmowy chwali numery tematyczne pisma, widocznie to jego pomysł. Najwyraźniej jest – sobą – bardzo zajęty. Moje pytania i to, co miałbym do powiedzenia, interesują go najmniej. Na przykład wtrącam, że tematyczna redakcja oznacza utratę ciągłego charakteru czasopisma, które staje się raczej serią antologii. Schlebia mu za to, że przeczytałem jego oświadczenie w marcowym numerze. Już to jest dość dziwne, by redaktor naczelny składał oświadczenie na drogich stronach swojego pisma, wypełniając je listą osób, wymieniając okoliczności, w których był niesłusznie atakowany i opisując, w jaki to sposób odniósł w tych dyskusjach zwycięstwo. Choć zupełnie mnie to nie interesuje, nasza rozmowa raz po raz wraca do historii tych walk, debat i przesładowań jego osoby. Uparcie pytam go o młodych poetów i gdy wreszcie traci cierpliwość, wzywa [Krzysztofa] Gąsiorowskiego. Energiczny, chudy mężczyzna o szpakowatej brodzie jest nieco zbyt prostym i rzeczowym człowiekiem, by robił wrażenie prawdziwego poety. Dość zawile i chaotycznie rzuca dwadzieścia – trzydzieści nazwisk, których nigdy wcześniej nie słyszałem, jak widać, „Poezja” uprawia swój własny ogródek. Mam przyjść jutro po listę adresów.

Obiad w barze i następny przystanek: PIW. Zastępca redaktora naczelnego jest bardzo młody, bardzo bojaźliwy, bardzo formalny... i bardzo sympatyczny. Po kilku wstępnych pytaniach prowadzi mnie do działu reklamy. Dostaję roczny plan wydawniczy, z którego do jutra mam wybrać to, co mnie interesuje.

³⁸ Tibor Zalan (ur. 1954) – poeta i dramaturg. Lajos Kassak (1887–1967) – pisarz i artysta malarz, wybitny przedstawiciel węgierskiej awangardy (przyp. tłumacza).

Wracam do domu, piszę. Gabi wraca z Wilanowa. Była u starego malarza, nie dało się od nich uwolnić, oczekują nas punkt piąta. Zaprosili też innych gości. Telefon do Renarda: nie możemy dziś przyjechać.

Pół godziny męczącej rozmowy. Na szczęście pani Hanka wie prym. Próbuje mnie namówić na przetłumaczenie Iłtakowiczówny, wszak niedawno zmarła i napisała wiersz do matki Ady'ego. Kilka razy zmieniam temat, wreszcie pogrążam się w milczeniu. Przychoǳą obiecani goście: Leszek Prorok (krępy mężczyzna o cienkim głosie, inteligentniejszy i bardziej interesujący od starego malarza) z żoną. Głośno i uroczyście prowadzą nas do drugiego pokoju. Na stole srebrne sztuczce, na porcelanowych talerzach pół butki z masłem i kawałek sardynki. Kolejne danie to dzieło starego malarza: *főzelék*³⁹ z dyni „po węgiersku” z drobnymi kawałkami mięsa i chamsko dużymi ziemniakami. Na deser budyń czekoladowy z owocami, herbata, żółte czereśnie oraz lampka szampana. Spisali się w każdym calu.

Niestety, nie udaje mi się zamienić z Prorokiem wielu słów. Dowiedziałem się tylko, że członkowie kierownictwa Związku Literatów prowadzą rozmowy z Ministerstwem. Główny punkt sporu to kwestia publikujących za granicą – najchętniej doprowadziliby do ich wykluczenia lub przynajmniej globalnego potępienia. Zawieszenie zostało przedłużone i jest szansa na jeszcze jedną prolongatę. Głównym argumentem kierownictwa jest konwencja helsińska. Po puczu w samej tylko Warszawie z partii wystąpiło dwudziestu ośmiu członków (Prorok do niej nie należy). Ci, którzy zostali, naprzykrzają się Grześczakowi. Tadeusz Nowak również wystąpił.

Stary malarz twierdzi, że miał z Nawrockim proces o plagiat.

Prorok przyniósł mi całą torbę książek. Musieli mu powiedzieć, że chcę go tłumaczyć.

Stary malarz próbuje mi wcisnąć jeden przekład Proroka i tekst o Iłtakowiczównie, który niedawno odesłał mu Bandi Fodor⁴⁰, powołując się na niepopularność Piłsudskiego na Węgrzech.

Za wszelką cenę chcę, by Gabi wyrecytowała Ady'ego. Na próżno się wymiguje i wreszcie deklamuje wiersze Wyspiańskiego i Miłosza.

Prorokowie wybierają się do Hajdúszoboszló. Sądzą, że jest obok Pécsu – ot, kolejne kuriozum. Szybko wyjaśniamy, że miasta są od siebie dość oddalone. Prorok raz jeszcze próbuje, upiera się, że Węgry to mały kraj, wszystko jest tam blisko i w jednej z dedykacji wyraża nadzieję na spotkanie w Pécsu. Uwalniamy się wreszcie około szóstej. Do północy robię listę dla PIW-u.

8 lipca. Piątek

Rano z trzema bukietami goździków (300 złotych) idę do Ministerstwa. Jeden dla Ireny Jelonek, która znów mi pomaga, podaje adres w Krakowie, gdzie za 260 złotych dostajemy pokój IBUSZ-u⁴¹. Drugi dla Krystyny Horst, która tym razem prosi, żebym usiadł,

³⁹ Gęsta zupa warzywna zastępująca cały obiad (przyp. tłumacza).

⁴⁰ András Fodor (1929–1997) – poeta i eseista, w latach 1981–1986 wiceprzewodniczący Związku Literatów Węgierskich (przyp. tłumacza).

⁴¹ Węgierskie przedsiębiorstwo turystyczno-transportowe działające od 1902 roku. W latach 70. i 80. pomagało polskim i węgierskim turystom i pracownikom eksportowym w znalezieniu zakwaterowania (przyp. tłumacza).

co robię na krótko. „Skoro się pan spieszy...” – mówi. Wcześniej zawsze ona była w pośpiechu, nigdy nie miała dla mnie czasu, no cóż, *Life For Speed*. Trzeci dla Wiechno, która prosi, żebym przyszedł do niej, kiedy wrócę z Krakowa, chce posłać list na Węgry. Przepraszam za „początkowe nieporozumienia” i zachwala wizyty w warszawskich wydawnictwach. Oczywiście nie o tym była mowa, ale nie odzywam się.

Zanoszę rachunek do biura Agencji Autorów, ale dopiero później wypłacą pieniądze, więc mogę dołączyć jeszcze rachunek z Krakowa. Dostaję plik anglo- i francuskojęzycznych ofert wydawniczych o Szymborskiej, Nowaku i innych.

O dwunastej wracam do redakcji „Poezji” – listy oczywiście nie ma. Gąsiorowski daje mi dwie antologie debiutów i adres ich redaktora, którego mogę poprosić o resztę. Pytam Drozdowskiego, czy są zainteresowani węgierskim numerem. Tylko na zasadzie wymiany z wyjazdem dwóch redaktorów. Jeśli im w tym pomogę, to chętnie przyjmą Węgrów. Drozdowski wychodzi, Gąsiorowski mówi o polityce („Ten kowboj szaleje”⁴²). W całej literaturze polskiej jedynie Leśmian potrafił utrzymywać swoje dzieło z dala od kontekstu politycznego. Herbert, choć dobry, nie jest oryginalny. Dwa punkty, między którymi zajmuje miejsce, to Różewicz i Miłosz. Opinia Gąsiorowskiego o emigracji jest dość negatywna i pesymistyczna, jeśli chodzi o jej szanse. Tłumaczy to przedawnieniem i zubożeniem języka.

Lista, którą przygotowałem dla PIW-u, ma czterdzieści pozycji, ale zabiorę pierwszą dwudziestkę. Przy trzynastym punkcie słyszę uwagę – choć bardzo przyjazną – o moich „szerokich zainteresowaniach”. Kończę na czterestu tytułach, co stanowi mniej więcej podstawową bibliotekę dwudziestowiecznej poezji. W tym czasie Gabi odniosła Ą. dziennik Woroszyłskiego. O drugiej powinniśmy być u Renarda, ale najpierw obiad. Docieramy do niego za kwadrans trzecia. Renard sprząta, jest trochę obrażony. Źle się zrozumieliśmy, czekał na nas w Instytucie. Nas cieszy fakt, że w ogóle dojechaliśmy z tymi niemożliwie ciężkimi książkami.

Renard wyszykował się na naszych oczach. Zaprosił Zosię, psycholożkę z Instytutu, której sympatię, jak się zdaje, chciałby sobie zaskarbić (tak w ogóle, miła dziewczyna), oraz Grzegorza Walczaka, który po powieści, wierszach, sztukach teatralnych i słuchowiskach radiowych pisze teraz książkę fantastyczną. Niezły z niego facet, ale wiersze, które pokazał, są dość średnie i głównie dowcipne. Dostałem ich plik, żebym wybrał coś w Krakowie i oddał później Renardowi. Jest lektorem języka polskiego na uniwersytecie w Belgradzie, przyszła z nim blondynka, która rozmawia z Gabi po angielsku i wypowiada się dość radykalnie. Biednemu Renardowi wypiliśmy trzy butelki czerwonego wina z Egeru. Po wyjściu Walczaków zaczęli z Zosią piec szaszłyki. Słuchaliśmy też Kaczmarzkiego. *Historia Polski, Epitafium dla Brunona Jasieńskiego, Czerwony autobus...* Do prawdy ciężkie utwory. Renard „tłumaczył” mi co dwie linijki, bo nie rozumiałem tekstu śpiewanego. Dwa lata temu Kaczmarzski wyjechał z Polski. Obecnie pracuje w Radiu Wolna Europa, nie ma żadnej szansy na powrót. Dwóch pozostałych członków zespołu jest w kraju, ale to nie to samo. Słuchamy jeszcze Wysockiego – fantastyczny!

⁴² Nie potrafię sobie przypomnieć, o kim mówił, o Wałęsie czy Jaruzelskim.

Wracamy do domu o drugiej w nocy, dużą część drogi pokonujemy pieszo, a jeszcze trzeba się spakować.

9 lipca. Sobota

O szóstej rano pociąg do Krakowa. W przedziale panuje ścisk. Gabi trochę śpi. Biuro bazy noclegowej jest czynne od pierwszej. Czekamy na Plantach, jemy coś, Gabi śpi na ławce, ja nie potrafię. Po pół godzinie czekania w kolejce dostajemy pokój na Grabowej – za swój płacę 125 złotych, Gabi 175 i jeszcze doliczają 33 złote. Jedziemy dwoma autobusami (linią 102 i 152) i tramwajem (siedemnastką), po czym lądujemy na trawie przed domem. Jest szósta, a o ósmej muszę być u Kornhausera. *Life For Speed*. O siódmej idę zadzwonić do biura – to jeszcze się nie zdarzyło, mówią, gospodarze na pewno przyjdą. Jeśli nie wrócą do dziewiętej, będziemy mieli zapewniony hotel.

Wracam do Gabi. Dziesięć minut później przyjeżdża samochodem ponad sześćdziesięcioletni mężczyzna. Pokój jest na parterze, na podłodze linoleum, na stole pomalowana blaszana taca. Woda jest zimna, tylko jedna wąska ubikacja z łazienką. Mężczyzna chce wiedzieć, o której wychodzimy rano. Dla bezpieczeństwa podaję wcześniejszą godzinę: około ósmej.

10 lipca. Niedziela

Śpimy do dziesiątej. Gabi parzy herbatę, trąca jedną szklankę. Pokój tonie w wodzie, akurat puka zirytowany właściciel. Skarży się, kiedy wreszcie wyjdziemy, bo musi jechać do żony do szpitala. Gabi denerwuje się, sprzeczamy się. Jedziemy do miasta – chce wiedzieć, kiedy wrócimy. Planujemy wrócić na szóstą, ale mówię, że będziemy o piątej.

Jemy śniadanie i włóczymy się po mieście. Załatwiam kilka telefonów. Przypadkiem spotykamy Felczaka. Zaprasza, żebyśmy gdzieś usiedli i czegoś się napili. Zamawiamy tylko herbatę. Rozmawia z nim Gabi, ja jestem ponury. Umawiamy się, że w środę zabierze nas do redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Wspomina o jakimś pustym mieszkaniu, w którym moglibyśmy się zatrzymać. Stwierdzamy, że od poniedziałku będziemy mieć nocleg w centrum, po czym nic więcej o tym nie mówi, a kiedy próbuję okrężnie wrócić do tematu, poleca zwrócić się do Szymańskiego.

Koło wpół do czwartej przychodzą mi na myśl B.⁴⁵ Idziemy do nich, stary przyjmuje nas w bieliźnie. Jest mocno zgarbiony. Właśnie gości na obiedzie synową, żonę Wojtką, która jedzie do Warszawy. Przychodzi też Piotr, z którym rozmawiamy na balkonie. Półtora roku temu skończył AGH, obecnie tam wykłada. Babcia od dwóch tygodni jest w szpitalu, miała wylew krwi do mózgu, nie może mówić. Obiecujemy, że jeszcze ich odwiedzimy (z salami i czekoladą), może Piotrowi uda się załatwić teksty Kaczmarek.

Około szóstej wracamy do domu, właściciel nic nie mówi. Piorę spodnie i wywieszam je na korytarzu. Po dziesięciu minutach nie ma po nich śladu. Boimy się, że ktoś je ukradł,

⁴⁵Maciej, średni syn B., był moim przyjacielem, latem 1968 roku kładliśmy rury nad Balatonem i Jeziołem Velence. Popelnił samobójstwo w latach siedemdziesiątych.

ale to nasz gospodarz wziął je do siebie na górę, wsadził do wirówki i rozłożył, żeby wyschły. Wieczorem czytam wiersze Kornhausera. Są dobre.

11 lipca. Poniedziałek

Około jedenastej pakujemy się i jedziemy do biura turystycznego, gdzie dostajemy adres innego noclegu. Udajemy się tam po obiedzie. Do drzwi gramoli się nieogolony, kaleki mężczyzna, emerytowany wojskowy. Pozwala nam zostawić bagaż, ale pokój możemy zająć dopiero o piątej.

Niekończący się spacer po Krakowie. Kupujemy walizkę⁴⁴. Idziemy do Kwiatkowskich. Zastajemy tylko żonę – mam zadzwonić po południu. Przesiadujemy tu i tam, chodzimy po kolejnych sklepach. Kupuję mapę województwa. Udaje mi się umówić z Szymarską, będą nas oczekiwać jutro. O piątej z powrotem do Kwiatkowskich – mam przyjść o szóstej. Wracamy do domu, pokój jest mały i urządzony bez gustu. Nie wolno gotować wody, palić i siedzieć na łóżku. Kwadrans trwa, zanim stary spisz dane z naszych paszportów.

Galopem do Kwiatkowskich. Niewielki gabinet. Kwiatkowski oferuje nam alkohol, chce się napić za tradycijną przyjaźń, ale prosimy tylko o herbatę. Redakcję „Pisma” zmuszono do ustąpienia, cały zespół odchodzi. Nie przyjęli programu czasopisma „Korniec Wieku” – gazeta zachowuje poprzednią nazwę, ale działa pod zupełnie inną redakcją i ukazuje się ze zmienioną zawartością. Nie ma to norm prawnych.

Spośród młodych Kwiatkowski rekomenduje Polkowskiego (którego poezja ukazuje się tylko w podziemiu za wyjątkiem jednego numeru „Pisma” z 1981 roku) i Bronisława Maja. On też mieszka na Krupniczej, w klatce schodowej od podwórza na czwartym piętrze, naprzeciwko drzwi na poddasze. Ukazały się jego dwa legalne tomiki. Chciałbym je pożyczyć, ale Kwiatkowski mruczy, że „niezbyt chętnie”, nie naciskam. Poleca mojej uwadze Mariana Jachimowicza⁴⁵, który ma węgierską przeszłość i debiutował w czasach awangardy. Mówię, że go znam, był u nas tłumaczony. Wymieniam węgierskie przekłady ważniejszych poetów, po czym Kwiatkowski pyta o sytuację młodych. Opowiadam, że trzy pokolenia uległy spiętrzeniu. Rozmawiamy też o językowej wrażliwości, której początki w Polsce i na Węgrzech były zupełnie odwrotnie: tutaj dotyczą poezji, u nas prozy. Możliwe, że subiektywizm jest mniej problematyczny i bardziej autentyczny niż relacje i instytucje. Tradycja ludowo-narodowa to według niego dwie różne rzeczy. Dziedzictwo szlacheckie jest też u nas. Z jedną, jak mówię, historyczną różnicą: w tym stuleciu tylko pisarze ludowi zajmowali się kwestiami narodowymi.

Pukamy jeszcze do Majów, ale nie ma ich w domu. Idziemy do stawnego schroniska młodzieżowego Oleandry, ale wolne miejsce jest tylko we wspólnym pokoju i to na jedną noc. Dzwonię do Szymborskiej, wydaje się bardzo uprzejma, oczekuje nas jutro o szóstej.

⁴⁴ Potężną, czarną, skórzaną walizkę, w której Gabi przemyci później pociągami ze dwadzieścia kilogramów samizdatów.

⁴⁵ Marian Jachimowicz (1906–1999) – poeta, malarz, tłumacz poezji węgierskiej. W latach 1917–1922 mieszkał w Budapeszcie i pracował jako preparator zoologiczny. Jego pierwszy tomik mógł ukazać się dopiero w 1957 roku. Zamiłk po 1981 roku. W 1992 wydał tom wspomnień *Mój Paryż nad Dunajem*.

Wracamy do domu, myjemy się, Gabi pierze po kryjomu kilka ubrań. Ukradkiem palimy w oknie.

12 lipca. Wtorek

Śpimy prawie do południa, potem pijemy herbatę (ja dwie). Idę do redakcji „Pisma”, gdzie przyjmuje mnie Jan Prokop. Jest bardzo uprzejmym, energicznym, inteligentnym, skromnie ubranym, brodatym człowiekiem. Wpada też Kwiatkowski i jakaś kobieta, której nie znam, ale rozmawiają przy niej swobodnie. Na druk czeka piąty numer, przynajmniej jeszcze ten się ukáže. Numer szósty jest już złożony, ale jego los pozostaje niepewny. Interesuje ich sytuacja na Węgrzech, opowiadam o reformach itd. Szybko odnajduję z Prokopem wspólny język. Przed wyjściem na klatce schodowej wciska mi do ręki nielegalne teksty, do oddania. Przedni materiał, między innymi teksty Kołakowskiego.

W tym czasie Gabi chciała zwiedzić muzeum, ale było zamknięte. Spotykamy się na Rynku, jemy obiad i – za wcześniej – idziemy do Szymańskich. Ulice zmywa ulewa, przed którą chronimy się na poczzcie. Przy okazji wysyłamy kilka pocztówek – starszemu panu⁴⁶, cioci i Lajosowi Cs. [Wiesław Paweł] Szymański to niski człowiek o siwych włosach przystrzyżonych na jeża i brodzie szlachcica. Z początku jest dość sztywny. Pijemy wódkę z sokiem pomarańczowym. Sprawy noclegowe i literatura. Zaprasza Prokopa, który zjawia się natychmiast, przynosi obiecane wcześniejsze numery „Pisma”. Jego przybycie rozładowuje atmosferę. Rozmowa toczy się wokół prawdziwych zamiarów Wojtka i szans na ich powodzenie. Znów próbuję zarysować różnicę w węgierskiej sytuacji. Jeśli zagrają na pogorszenie warunków, mówię, istnieje obawa, że nasze interesy staną się diametralnie różne. Według Szymańskiego to tylko doraźna i nie do końca przemyślana opinia. Trochę mnie to uspokaja. Dzwonię do Szymborskiej, że zjawimy się później. W końcu jedziemy taksówką z Prokopem, nawet nie kupiliśmy kwiatów.

Szymborska jest niezwykle uprzejma. Nalega, żebyśmy napili się koniaku. Przegląda dokonany przeze mnie wybór wierszy⁴⁷, mówi, że też zwykła wydawać te teksty. Oczywiście są takie, których nie da się przełożyć. Ja również spotkałem się z jednym. Prosi, żebym go pokazał, ale bezskutecznie kartkuję książkę. Kolejny temat to poezja i polityka. Przyznaję, że często upatruję tę drugą jako przymus – Szymborska żywiołowo przytakuje – tyle że u nas historia potoczyła się inaczej. Mówi, że to, co robi, traktuje jako anachronizm – z ogólnego historycznego punktu widzenia. Wyznaje to z przyjacielskim zakłopotaniem.

Myśli, że to ja przetłumaczę tomik. Odpowiadam, że są lepsi ode mnie. Prosi tylko, żeby mieli poczucie humoru. Jej wiersze są smutne, ale bez humoru następuje ich koniec.

Uwielbia węgierskich autorów. Fatalnie, że nie ma dobrych tłumaczeń. Zgadza się w kwestii Nawrockiego. Chwalę przekłady László Nowaka Nagya, którego też

⁴⁶ Sándor Lukácsy, przyjaciel ojca Gabi.

⁴⁷ Mowa o tomie *Csodák vására* (*Jarmark cudów*), który zredagowałem, a w 1988 roku ukazał się w Wydawnictwie Europa.

coś czytała. Interesują ją moje wiersze. Chciałaby zobaczyć tomik. Sytuuję siebie między Nowakiem i Nową Falą.

Nie jest teraz w stanie przepisać na maszynie nowych tekstów. Ktoś rozchorował się w rodzinie i jedzie do niego na urlop, wraca w połowie sierpnia. Znajdę je w „Twórczości” i w „Piśmie”. Mówię, że później poszukam. Co do niepublikowanych wierszy, we wrześniu mam posłać listę tych, które posiadam, a ona dostarczy pozostałe.

Przychodzi Kornel Filipowicz z francuskim (belgijskim) małżeństwem. Kobieta również tłumaczy, polskiego uczyła się jako turystka. Chcemy już iść, ale nas nie wypuszczają.

Kornela interesują moje wrażenia. Nadmieniam, że prasa ma tu więcej swobód. Przejmuje go złość i rzuca na stół jeden z numerów „Pisma”: „Mieliliśmy jedną gazetę, teraz nie mamy żadnej!”. Nie jestem naiwny, mówię, miałem na myśli względne pojęcie wolności. Wisława bierze mnie przyjacielsko w obronę: „Wiem, jaka jest sytuacja, dopiero co byłem w redakcji »Pisma«”.

Pijemy czerwone wino, później jemy kolację. Żegnamy się kilkakrotnie, ale nie pozwalają odejść. Szyborska poleca nas swojemu rodzicowi chrzestnemu. Filipowicz entuzjazmuje się Kassákiem i Moholy-Nagyem⁴⁸. Przechodzimy do gabinetu Szyborskiej, gdzie autorka wpisuje mi dedykację do książki. W trakcie odnajduję nieprzetłumaczalny wiersz – *Urodziny*. Radzi, by gry językowe zastąpić węgierskimi odpowiednikami. Daje mi też jeden rękopis. Wychodzimy kwadrans po dziewiątej. Spory kawałek – z entuzjazmu – idziemy pieszo.

13 lipca. Środa

Wychodzimy wcześniej, żeby za radą Kornela zajrzeć do sekretariatu Związku Literatów, ale jest czynny dopiero od jedenastej, w tym czasie w Kawiarni Literackiej mamy spotkanie z Felczakiem. Jest bardzo miły. Natychmiast pyta o nocleg, na co skarżymy się, że jest nie do zniesienia. Przygotował nam program: mamy zobaczyć dawne kolegium uniwersyteckie i pójść do biblioteki Uniwersytetu na Sławkowskiej, której kierownik jest jego przyjacielem. Jesteśmy serdecznie przyjęci, mogą codziennie korzystać z czytelników. Wstępujemy do redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Muszę później dowiedzieć się, z kim tam rozmawiałem⁴⁹. Znak jest spółką akcyjną, oprócz „Tygodnika” wydają jeszcze książki i czasopismo „Znak”. Udziałowcy nie pobierają dywidendy od zysków. Pismo nie ukazywało się tylko w latach 1953–1956, kiedy Wyszyński był w więzieniu. Publikację początkowo finansował fundusz kościelny, obecnie ukazuje się ona z własnych środków. Miesięczny limit to siedemdziesiąt tysięcy egzemplarzy, ale są w stanie wydać nawet dwieście tysięcy. Spółka działa na podstawie prawa z 1925 roku. Cenzura odbywa się na poziomie pierwszej korekty. Wykreślone fragmenty cenzorzy oznaczają w tekście, powołując się na artykuł prawny. Autorytet papieża i Kościoła, tradycje pisma, swobodny dobór pracowników (także spośród autorów prasy podziemnej) to czynniki, które zapewniają wydawnictwu autonomię. W jednym z pokoi olbrzymi plakat „Solidarność”.

⁴⁸ László Moholy-Nagy (1895–1946) – światowej sławy malarz, fotograf, projektant, teoretyk, profesor Weimarskiego Bauhausu (przyp. tłumacza).

⁴⁹ Do dziś tego nie wiem.

Wpada Szymański. Nie wiedział, że Belgowie wyprowadzili się z Kanoniczej (nam wczoraj powiedział o tym Kornel). Mamy zadzwonić i dostaniemy pokój. Felczak idzie z nami. W przedsionku Prokop i Filipowicz prowadzą żywą dyskusję na jakiś temat. Kornel rzuca tylko, że jest pokój. Dostajemy klucz. Kobiety w biurze są nieco przestraszone, że na tak długo, ale Felczak uspokaja je, machając moim tomikiem poezji.

Pokój jest fantastyczny, duży i piękny. Wielka radość. Szymański zabiera nas jeszcze do winiarni i zamawia po szklaneczce wina. Pyta o nasze wyznanie. Mówię, że jestem ateistą. Gabi opowiada o religijnym przeżyciu z Włoch, czym ratuje nas z opresji. Nieco później, mówiąc o odmiennej roli węgierskiego i polskiego Kościoła, zaznaczam, że może tutaj byłbym katolikiem. Nasz znajomy łatwo przechodzi nad tym do porządku dziennego, według Gabi przypadliśmy mu do gustu. Rzeczywiście, jest dziś nieporównywalnie bardziej rozluźniony, choć może to my byliśmy wczoraj bardziej spięci.

Za cenę niemałych komplikacji udało nam się zrezygnować z dotychczasowego noclegu i błyskawicznie przenieśliśmy rzeczy do wspaniałego pokoju. Od tej pory herbata, papieros... – czego tylko dusza zapagnie.

14 lipca. Czwartek

Do trzeciej siedzę w bibliotece uniwersyteckiej nad słownikami, przeglądam życiorysy i czytam rozdział historii literatury po 1918 roku poświęcony „Skamandrowi”. Zabieram do domu słownik polsko-węgierski. Po południu czytam zapisany drobnym maczkiem tekst⁵⁰.

15 lipca. Piątek

O pierwszej spotykamy się z Felczakiem w Literackiej. Pożycza nam trochę pieniędzy, dopóki nie dostanę wypłaty. Daję mu w rękopisie moje dwa sonety o tematyce polskiej. Jeśli to prawda – Ildikó⁵¹ wysłała mu zaproszenie – 12 września przyjedzie na dwa tygodnie do Pécsu. Zapraszamy go do siebie, trzeba później uzgodnić z Csabą [Gy. Kissem], jak się spotkamy. W Krakowie już się nie zobaczymy, bo wyjeżdża do Zakopanego.

Pytam o początki jego węgierskich kontaktów. Jego profesor na uniwersytecie w Poznaniu mówił wielokrotnie, że ktoś powinien nauczyć się węgierskiego, i tak Felczak zapisał się na lektorat. Przed wojną spędził rok w Kolegium Eötvösa⁵². Później pracował jako pełnomocnik polskiego rządu na emigracji, był też w Pécsvárady, gdzie działał obóz dla polskich uchodźców udających się do Jugosławii.

Po południu chodzimy bez mapy po Nowej Hucie. Na pętli tramwajowej na Mistrzejowicach natrafiamy przypadkiem na kościół pw. św. Maksymiliana Kolbego. Potężna i jasna świątynia ma charakter hali politycznych i ludowych zgromadzeń.

Drugi autobus zabiera nas do walcowni. Trzecim przejeżdżamy obok Huty im. Lenina i lądujemy na głównym placu. Fotografuję pomnik sławnego, potężnego Karła.

⁵⁰ Po 1981 roku w Polsce lub za granicą z nielegalnie wydanych czasopism przygotowywano pomniejszone do formatu A6 wydania, które można było łatwo ukryć i przewieźć.

⁵¹ Ildikó Rosonczy – historyczka, żona Istvána Kovácsa.

⁵² Eötvös Collegium – kolegium naukowe Uniwersytetu Budapeszteńskiego założone w 1895 roku na wzór paryskiej École Normale Supérieure (przyp. tłumacza).

To najbardziej nieudana rzeźba, jaką kiedykolwiek widziałem. Spacerujemy główną ulicą, w księgarni kupuję futurystyczny (?) poemat Peipera o budowie Gdyni (*Na plaży*). Szymański oczekują nas jutro.

16 lipca. Sobota

Przed południem czytam w łóżku zminiaturyzowane czasopisma. Gabi poszła na Kazimierz i Stradom. Jemy obiad na Rondzie i o trzeciej idziemy z kwiatami do Szymańskich. Pijemy napoje z lodem. Polecają wystawę tematyczną w Muzeum Narodowym, to już druga autorstwa kuratora Rostworowskiego. Pierwsza, zatytułowana *Polaków portret własny*, odbyła się przed grudniem. Oglądamy gruby katalog. Zabierają nas volkswagenem do Modlnicy. Jest tam dworek rodziny szlacheckiej, której ostatni członek był pisarzem i tłumaczem. Obecnie to uniwersytecki dom pracy twórczej, rzeczywiście piękny, pełniący podobną funkcję do dworku Berzensyiego w Nikli⁵³. Na podwórku potężna wierzba płacząca, a w parku kilkusetletni dąb z dzikim ułem w dziupli. Szymański źle się czuje. Po raz pierwszy od miesiąca udało mu się zdobyć śledzie, ale były przesolone. Pije dużo wody, bo ciężko znosi upał. Obiecuje, że jak zostanie rektorem, to nas tu zaprosi. Obok dworku stoi nowy drewniany kościół.

Wracamy do Krakowa, pijemy wino i colę w Literackiej. Szymański opowiada o swojej powieści, której akcja toczy się w czasie powstania styczniowego. Przekazuję mu wiadomość od Csaby: Wydawnictwo Europa było zainteresowane jego książką. Następnie jest mowa o Micińskim, o którym napisał swój pierwszy esej. Obiecuje, że odszuka wszystkie teksty Micińskiego wydane w Znak. Pyta, czy nie przetłumaczyłbym jego powieści, po czym łapie się za głowę, bo wie, że jeszcze jej nie znam. Obiecuje mi egzemplarz swoich esejów.

17 lipca. Niedziela

Przed południem oglądamy wystawę, którą polecał Szymański. Fantastyczny autoportret Malczewskiego.

Po południu idziemy do Majów. Bronisław jest gościnny i bardzo stanowczo się wypowiada. Pracował w nowej redakcji „Studenta”, ale zwolniono cały zespół. Dostał „wilczy bilet”, co znaczy, że nie może publikować w prasie (za wyjątkiem „Tygodnika Powszechnego”). Ma etat w Katedrze Polskiej Literatury Współczesnej na UJ. Współpracuje z Teatrem KTO, którego początki stanowił Teatr STU po tym, jak ten zyskał profesjonalny status i nieco zatracił swój kontrkulturowy charakter. Obecnie z powodu trudności administracyjnych i finansowych część członków wróciło do Teatru STU, a pozostali, jak on, opuścili zespół. Ich najśłynniejszym przedstawieniem był złożony z tekstów literackich *Ogród pokus* z 1980 roku. Wraz z przewrotem zmienił się oddźwięk ich spektakli. Zima będzie ciężka. Wychodzimy około dziesiątej. Gabi przepisuje ręcznie tomik *Nasze życie rośnie* Krynickiego.

⁵³ Dániel Berzensyi (1776–1836) – poeta, tworzył na pograniczu klasycyzmu i romantyzmu (przyp. tłumacza).

18 lipca. Poniedziałek

Do południa pracuję w bibliotece. W biurze Związku Literatów dostaję adres i numer telefonu Leszka [Moczułskiego], ale niestety wyjechał w sobotę nad morze. Dzwonię do Szymańskiego i umawiamy się na jutro. Po południu zajmuję się lekturą, Gabi przepisuje teksty. Wieczorem idzie na spektakl Teatru STU do Barbakanu. Grają sztukę *Paradis Głowackiego*. Ja za poleceniem Maja i Kwiatkowskiego odwiedzam Jana Polkowskiego. Jest oziębłym blondynem, z trudem się rozumiemy. Zajmuje skrajnie krytyczne stanowisko, nie rozważa politycznych alternatyw i gardzi nimi. Długą godzinę prowadzimy ostrożną i nieprzynoszącą żadnych wniosków dyskusję. Pewien czas spędził w obozie dla internowanych, a odkąd go zwolniono, nigdzie nie pracuje. Od Szymańskiego wiem, że to jego własna decyzja.

19 lipca. Wtorek

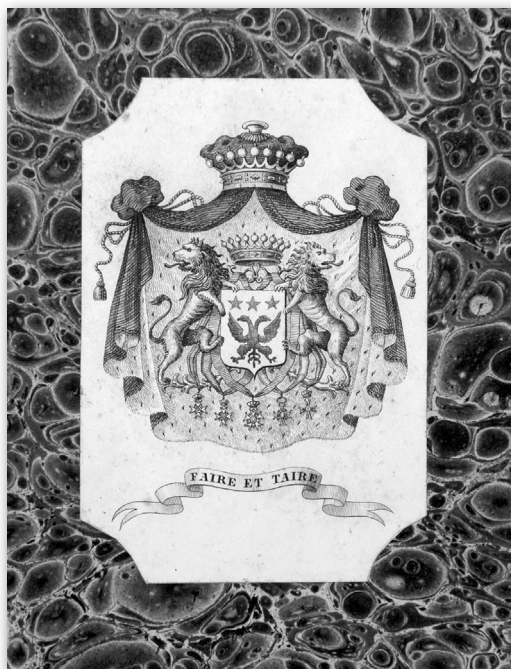
W południe spotykamy się z Szymańskim w kawiarni. Dostaję jego powieść i pierwszą publikację o Micińskim. O Warzesze i Ziemiańninie ma złe zdanie. Wreszcie udaje nam się zapłacić za zamówione wino. Ponownie obiecuje, że zdobędzie od Znaku wszystkie dzieła Micińskiego. Mówię mu, że Tomek⁵⁴, z którym spotkaliśmy się u Maja, już je załatwia. Daję słowo, że będę mieć na oku los jego książki. Później idę do redakcji Wydawnictwa Literackiego, gdzie dostaję prospekty, z których mam wybrać książki. Redaktorka naczelna to ten sam energiczny typ co Jelonek, ale nie udaje mi się jej lepiej poznać, bo natychmiast odsyła mnie do działu reklamy. Całe popołudnie czytam Miłosza, Gabi przepisuje.

20 lipca. Środa

Około dziesiątej Gabi jedzie na wycieczkę do Wieliczki. Gdy tylko wychodzi, zaczyna padać deszcz. Już koło jedenastej w nocy była spora, budząca lęk burza, podczas której pękały szyby i spadały dachówki. Nie działają lampy, świeci się tylko w dwóch – trzech bramach, panuje niemal grobowa ciemność. Kończę lekturę *Rodzinnej Europy*, po czym idę do Wydawnictwa Literackiego. Wykreśliłem z listy Warzechę i Ziemiańnika, częściowo pod wpływem opinii Szymańskiego, a częściowo z obawy, że tytułów będzie za dużo. W magazynie śliczna blondynka przyjmuje mnie z całkowitą obojętnością, co zresztą stanowi powszechną różnicę między Krakowem i Warszawą. Gdy docieram do domu, znów zaczyna padać⁵⁵.

⁵⁴ Nie pamiętam, o kim mowa. Może o młodym Jastrunie? Ale skąd byłby w Krakowie?

⁵⁵ Tu urywają się zapiski pierwszej części dziennika.



Eklibris anonimowego arystokraty, autor nieznan, miedzioryt, XIX w.; zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner



Eklibris anonimowego arystokraty, staloryt lub miedzioryt, autor nieznan, XIX w.; zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner